Nr. 153. Lwów — Piątek dnia 8 Lipca. Rok 189

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . 6 „
Numera z poprzednich dni po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jako to o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 60 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOLECZNY I LITERACKI.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 ct. Opłatę należy nadsyłać równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy

Nadesłane na trzeciej stronicy:

Ogłoszenia do Przeglądu przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 5.

Dziś: Pt.	św. Elżbiety Kr.	Dawyda Ft.	Adres Redakcyi i Administracyi Ulica Sykstuska l. 45.	Naczelny Redaktor i Wydawca: *LUDWIK MASŁOWSKI.*	Wschód słońca o g. 4 m. 15	Długość dnia g. 15 m. 38
Jutro: Sob.	św. Cyryla B.	Samsona			Zachód „ „ 7 „ 53	Ubyło dnia od wczoraj 1 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 7 lipca.

Podczas ostatnich wyborów do parlamentu niemieckiego utraciło Koło polskie jak wiadomo sześć mandatów. Wynik głosowania wykazał jednak, że liczba polskich wyborców wzrosła od przedostatnich wyborów o kilka tysięcy. Podczas bowiem, gdy przy poprzednich wyborach było głosów polskich 111.000, obecnie padło ich 115.000 Wzrost ten wobec prawa wyborczego w Niemczech, gdzie o zdolności wyborczej rozstrzyga census podatkowy, a zatem położenie ekonomiczne wyborców, oznacza zarazem wzrost ekonomiczny społeczeństwa polskiego. To też o ile utrata sześciu mandatów przez Polaków wprawiła w radość szowinistów niemieckich, o tyle zatrwożyło ich zwiększenie się liczby polskich wyborców. Powstało więc larum w obozie hakatystowskim, a rozmaite pisma junkierskie oraz liberalne zażądały wprost unieważnienia tych głosów, które wypisane były na drukowanych po polsku kartkach do głosowania. Ponieważ zaś prawie wszystkie głosy, które padły na polskich kandydatów, wypisane były na polskich kartkach, więc unieważnienie ich znaczyłoby to samo, co unieważnienie wyboru polskich posłów, skutkiem czego z wyborów wyszliby tylko ich przeciwnicy, kandydaci niemieccy. Propozycyi tej sprzeciwiły się bezwarunkowo tylko pisma katolickiego centrum, zaznaczając wprost, że czegoś podobnego wstydziłoby się należało. Pisma postępowe zaś zgodziły się w zasadzie na ten projekt, lecz odradziły na teraz unieważnienia wyborów. Byłoby to bowiem, ich zdaniem, zbyt rażącem unieważniać teraz wybory z powodu głosowania polskimi kartkami, skoro się to praktykowało przez lat 27, a przed takiem głosowaniem nikt nie ostrzegał wyborców. Przytem trzebaby równocześnie na tej samej zasadzie unieważnić wybory w Alzacyi i Lotaryngii, gdyż tam głosowano po francusku, oraz w Szlezwiku, gdzie głosowano po duńsku. Na przyszłość jednak żądają te pisma taką zmianę przepisów wyborczych, aby ustawowo powiedzianem było, że ważne są tylko głosy wypisane na niemieckich kartkach.

Rezultat wyborów w Poznańskiem wyciągnął także na tapet tamtejszą agitacyę wyborczą. Gazety niemieckie zajmują się stronnictwami politycznymi w Poznańskiem, mianowicie stronnictwem t. zw. „dworskiem“ i „ludowem“, które dzięki swoim hasłom radykalnym narobiło bardzo wiele wrzawy. Czem jest to drugie stronnictwo i jakie są jego cele, o tem wiedzą już nasi czytelnicy z licznych artykułów, jednak uważamy za stosowne przytoczyć to, co o niem pisze korespondent *Berl. Tagblattu*, a zatem Niemiec, który swoich chce i umie dokładnie i gruntownie poinformować.

„Stronnictwo dworskie — pisze on — ma na czele wytrawnych parlamentaryuszy; do niego należy cała niemal inteligencya, a cieszy się ono także poparciem duchowieństwa polskiego. Jest ono za *fortiter in re, suaviter in modo*; jest grupą dyplomatyzującą, która nawet przy największej opozycyi nigdy nie chce wywoływać wzburzenia. Jeżeli dzisiaj w jego organach i w jego reprezentacyi parlamentarnej zdaje się górować inne zapatrywanie, to należy to uważać za moment przemijający, wywołany może przez coraz jaskrawiej występujący opór secesyonistów. Zwolennicy secesyi, czyli ludowcy, rekrutują się z drobnych rzemieślników, drobnych chłopów, robotników, o ile ci nie popadli już w socyalizm, słowem z żywiołów, które są równie mało zadowolone z swego stanowiska ekonomicznego i społecznego, jak narodowego. Na tych wywiera polska partya ludowa wpływ prawdziwie hypnotyzujący; ale wśród nich jest jeszcze szacunek dla inteligencyi tak wielki, że nie śmieją jeszcze wypowiedzieć jawnie tego, co oddawna odczuwają skrycie.

„Politycznie wykształconym jest właściwie każdy Polak. Jest on w całem znaczeniu urodzonym politykiem; jako taki naturalnie zawsze najprzód narodowym Polakiem; zwolennik partyi dworskiej jednakże występuje jako polityk wtenczas tylko, kiedy zachodzi potrzeba i charakterystyczną właściwością jego jest zachowywanie ostrożności, po trzykroć ostrożności. Natomiast secesyonista, rzemieślnik, drobny wieśniak, robotnik, widzi politykę we wszystkiem i wszystko też miesza z polityką. Dla niego istnieje zawsze polityczne męczeństwo. Jego niezadowolenie z położenia ekonomicznego objawia się w narodowo-polskich narzekaniach i w tem utrwala go do najwyższego stopnia prasa stronnictwa ludowego, w którą wierzy ślepo.

„Niezadowolony, jak wiadomo, znajduje szybko zwolenników, a więc także znalazła ich polska partya ludowa, składająca się z początku z małej liczby ludzi, dla których politykowanie było głównem zajęciem. Gdyby im się było powierzyło wówczas cząstkę kierownictwa politycznego, natenczas nigdy nie byłoby przyszło do secesyi. W gruncie rzeczy zatem niezadowolenie, czysto osobiste niezadowolenie z kierownictwa polskiemi sprawami, było powodem utworzenia polskiej partyi ludowej. To niezadowolenie żywiono wszelkiemi możliwemi teoryami i ostatecznie przeniesiono je także na dziedzinę ekonomiczną. Ktoby chciał dzisiaj określić program ekonomiczno-polityczny secesyonistów polskich, ten podjąłby się pracy Syzyfowej, a jednak nie doszedłby do celu. Prasa, która zawsze jest zwierciadłem zapatrywania stronnictw, w tym wypadku absolutnie nie daje sposobności do żadnych spostrzeżeń, jakie środki ekonomiczne wystawiają sobie ludowcy na swoją korzyść. Pragnienie opozycyi, jak największej opozycyi, usuwa na bok wszystko inne. Co ta prasa podaje jako pozytywne zapatrywania ekonomiczne, pochodzi z przekonań osobistych, które znajdują się w największej sprzeczności między sobą. Programu ekonomicznego polskie stronnictwo ludowe nigdy też nie będzie mogło przedłożyć, będzie tylko prowadziło opozycyą przeciwko wszystkiemu — albo przestanie istnieć. Gdyby się poprawiło ekonomiczne położenie secesyonistów polskich, to większa część z nich ani nie myślałaby o secesyi, lecz stanęłaby po stronie stronnictwa narodowego. Polska partya ludowa tak samo jak polskie stronnictwo dworskie nigdy nie zerwą solidarności, jaka rządzi Polakami. Ludowcy zawsze będą najprzód Polakami i w swych dworskich przeciwnikach zawsze będą najprzód widzieli Polaków, zanim dadzą wolny bieg innym swoim uczuciom. Ta wspólność pozostanie wśród nich zawsze i przez to redukuje się polska secesya do znaczenia „sprawy domowej“ Polaków, która prędzej czy później zakończy się pokojowo, prawdopodobnie ustępstwem dla kierunku secesyonistycznego.

Mamy już szczegółowy opis ostatniej, prawdziwie bohaterskiej bitwy i zarazem straszliwej klęski admirała Cervery.

W niedzielę, o godzinie 9-ej z rana amerykańskie wojska poczęły szturmować Sant Jago, a jednocześnie eskadra Sampsona jęła forsować wjazd do zatoki. Kanonada trwała godzinę, forty hiszpańskie, zasypywane granatami, jak gradem, odpowiadały coraz słabiej i było widoczne, że niebawem umilkną, a wówczas flota Sampsona otoczy i weźmie do niewoli okręty hiszpańskie. Natenczas Cervera odważył się na czyn niezmiernie ryzykowny i zuchwały: postanowił przedrzeć się przez linię amerykańskich okrętów i umknąć na pełne morze. Gdyby to mu się udało, można byłoby powiedzieć, że dokazał czynu niebywałego w historyi wojen i że odniósł świetny strategiczny sukces, bo cały miesiąc daremnie trzymał Amerykanów pod Sant Jago i zmusił ich do zmiany wojennego planu, którego celem była Hawana, na plan gorszy, do wykonania trudniejszy, a skierowany przeciw Sant Jago. Liczył Cervera na chyżość swych okrętów. Wszystkie one są jednego typu i robią na godzinę 20 mil morskich, podczas gdy statki Sampsona są różnych systemów, przeważnie kolosalne, niezmiernie ciężkie i dość powolne, bo najprędsze z nich robią 16 mil morskich na godzinę. Zdawało się tedy, że jedyną trudnością będzie przedrzeć się przez linię okrętów amerykańskich, a potem już całe morze stanie przed Cerverą otworem. Kazał tedy rozpalić pod kotłami, swój okręt postawił na czele i odrazu pełną siłą pary wypadł z zatoki. W pierwszej chwili Amerykanie osłupieli, lecz w następnej już zionęli ogniem. Był on nadzwyczaj skuteczny, bo strzelano z bliska. Dwa torpedowce hiszpańskie „Furor“ i „Pluton“ zaraz poszły na dno, ale reszta statków wymknęła się szczęśliwie i popędziła na zachód, ku Hawanie, trzymając się nieopodal brzegów, bo każdy okręt był nieco nadwerężony. Za tymi statkami pędziła eskadra Sampsona, lecz była coraz dalej i w końcu tak daleko, że jej pociski przestały dolatywać do umykających okrętów. Wówczas Cervera kazał zwolnić ruch statków, ponieważ wyczerpywały się zapasy węgla i lada chwila mogło go zabraknąć. W tem, w odległości 20 mil morskich od Sant Jago, pod miasteczkiem Aserradores, dwa okręty amerykańskie, płynące do Sant Jago, zastąpiły drogę Cerverze. Bój znowu się zaczął, a gdy on trwał, zdołała nadpłynąć cała eskadra Sampsona. Dla Hiszpanów nie było ratunku; musieli się poddać, lub zginąć — wybrali śmierć. Te okręta, które były dalej od brzegu, same siebie wysadziły w powietrze, zapaliwszy dynamit — inne okręty, a między nimi i admiralski „Cristobal Colon“, obróciły się nosami ku skałom nadbrzeżnym i pomknąwszy na nie pełną siłą pary, rozbiły się w drzazgi. Tonących ratowali Amerykanie, uratowali i rannego Cerverę.

Tak się skończyła ta straszna tragedya. Teraz cała bojowa flota amerykańska zapewne skieruje się pod Hawanę i tam się przeniesie główny punkt działań wojennych.

Z wiadomości, jakie do nas dochodzą z Wiednia, okazuje się, iż rokowania, jakie hr. Thun prowadzi ze stronnictwami niemieckiemi z jednej strony, a z młodoczechami z drugiej strony, idą dotąd choć opornie, ale przecież ciągle naprzód i że jest nadzieja, że do jakiegoś porozumienia doprowadzą. Jeżeliby doprowadziły, natenczas rząd cofnie znane rozporządzenia br. Gautscha i tym sposobem zadość uczyni temu postulatowi Niemców, iż obstrukcyę wtedy tylko przestaną prowadzić, gdy rozporządzenia językowe zostaną zniesione. Rozporządzenia, jak powiedzieliśmy, cofnie, ale równocześnie na podstawie § 14 wyda dla Czech i Morawy ustawę językową, którą obecnie na tle ugodowych rokowań wypracowują najzdolniejsi ministeryalni urzędnicy polityczni tak Czesi jak i Niemcy.

W takim też razie zwołany zostanie parlament, może już nawet we wrześniu, a ponieważ znaczna część Niemców przystąpi do pracy produkcyjnej, przeto rychło będzie można uchwalić nowy regulamin obrad, stłumić zupełnie obstrukcyę i puścić w prawidłowy ruch maszynę parlamentarną Jeżeli zaś na odwrót rokowania utkną i nie doprowadzą do pomyślnego rezultatu, wówczas rząd będzie dalej w prowadzał rozmaite ustawy niezbędne dla rozwoju państwa, powołując się ciągle na § 14, parlamentu wcale w tym roku nie zwoła, a gdy po kilku miesiącach znowu zawezwie stronnictwa niemieckie do rokowań ugodowych i one jeszcze się nie uleczą ze swej obstrukcyjnej choroby, naówczas zastanowi się nad potrzebą oktrojowania nowej konstytucyi. Rząd bowiem i sfery dworskie przyszły już stanowczo do przekonania, że źródłem wszystkich zaburzeń, awantur, rozruchów, wszelkich wykroczeń gremialnych przeciw życiu i mieniu współobywateli jest teraz Rada państwa i wygłaszane w niej zbrodnicze mowy rozwydrzonych posłów. Utrzymywać więc taką Radę państwa, jestto opieką otaczać siedlisko wszelkich zakaźnych chorób politycznych i socyalnych, jestto w centrum państwa podsycać robotę, mającą na celu rozbicie tego państwa, jestto wreszcie iść na rękę tym żywiołom zagranicznym, które dążą do rozbicia Austryi i w tym celu stoją w stałych konszachtach z wielu członkami opozycyi niemieckiej. Z tych więc powodów rząd absolutnie nie ma zamiaru robienia jeszcze takich experymentów z Radą państwa, jakie już trzykrotnie robił na wiosnę, przed Wielkanocą, po Wielkanocy i po delegacyach.

List pasterski

ks. arcybiskupa Issakowicza.

Za kilka tygodni obchodzić będzie czcigodny arcypasterz lwowski obrządku ormiańskiego ks. Issakowicz złoty jubileusz kapłański. W dniu 6 sierpnia 1848 odprawił bowiem pierwszą mszę św. w kościółku parafialnym swego rodzinnego miasteczka Łyśca. Z tego powodu wydał czcigodny jubilat już teraz do dyecezyan swoich list pasterski, w którym daje im szereg złotych rad na dalszą drogę życia. List ten napisany jest w tonie tak serdecznym, przebija z niego taka gorąca miłość Boga i bliźnich, że nikt nie jest w stanie przeczytać go bez rozczulenia. Ks. arcybiskup oświadcza w nim, że w tak późnej starości nie może sobie już obiecywać częstych zetknięć osobistych z swymi dyecezyanami i częstych przemawiań do nich żywem, ciepłem słowem pasterza, dla tego też przypomina im i przekazuje jakoby testamentem niektóre prawdy i przestrogi ojcowskie. — Myśl przewodnia całego tego listu pasterskiego jest, aby społeczeństwo stało wytrwale przy wierze Ojców i żyło prawdziwie po katolicku. Między innemi odzywa się ks. arcypasterz w te słowa:

„Nadewszystko proszę Was i zaklinam, byście drogi skarb wiary naszej św. rzymsko-katolickiej, uważali zawsze za najwyższe dobro, za najkosztowniejszy klejnot, którego z łaski Bożej od kolebki Waszej staliście się uczestnikami. Wiarę tę św. Ojców Waszych kochajcie, wiarę tę najwyżej sobie cenicie z tem niezłomnem postanowieniem, raczej wszystko, i samo nawet życie doczesne postradać, niżli nie daj Boże utracić ten skarb najkosztowniejszy, którego strata niczem powetować się nie da. Pamiętajcie Ukochani moi, że jako jeden tylko jest Bóg, jeden Chrystus Zbawiciel, jeden chrzest św., tak tylko jedna jest prawdziwa wiara, wiodąca do żywota. Pamiętajcie, że tę jedną nieomylną wiarę głosi nam i daje jeden od Boga Jezusa Chrystusa ufundowany Kościół, a tym jedynym Kościołem jest Kościół św. rzymsko-katolicki, Kościół na opoce Piotrowej zbudowany. Pamiętajcie, że ten jeden Kościół Chrystusowy jest tam, gdzie jest głowa jego widoma, widomy zastępca Boga na ziemi, gdzie jest Papież, Biskup rzymski. Pamiętajcie, że bez tego Papieża Kościoła nie ma. A jeśli Wam, szczególnie w czasach naszych nieszczęśliwych, kiedy piekło wypuściło całą sforę kłamliwych duchów swoich na oszukanie całych narodów i pojedyńczych ludzi, fałszywi prorocy i szerzyciele przewrotu i bezbożnych zasad, wskazywać będą Wasze szczęście i Wasze zbawienie w tej lub owej kłamliwej nauce, wołając: „Oto tam Wasz Zbawiciel“, — nie wierzcie im i nie wychodźcie do nich, nie nastawiajcie uszu Waszych na ich wołanie. W jedynym naszym Kościele rzymsko-katolickim jest zbawienie nasze. A Kościół ten jest tam, gdzie jest Papież, gdzie głowa jego. Głosu tedy Papieża, Najwyższego Pasterza naszego zawsze słuchajcie, za nim jak dobre owieczki jego idźcie. W tej łodzi, którą Piotr św., ten Papież rzymski steruje, zawsze się znajdujcie, a bądźcie pewni, że szczęśliwie pod jego sterankiem pominiecie wszystkie podwodne i niebezpieczne skały, i szczęśliwie do portu zbawienia zawiniecie. Okręty choćby pozornie najokazalsze przewrotną ludzką mądrością ludzi nadętych, odpadłych od wiary Kościoła zbudowane, prędzej czy później się rozbiją, poginą i zatopią się w falach morskich wszyscy, co się na tych okrętach znajdują. Sama łódka Piotrowa ocaleje pewnie, ocaleją wszyscy, co jak w arce Noego w czasie potopu w tej łódce Piotrowej płyną po wzburzonych falach morza tego świata.

Testamentem moim przedśmiertnym przekazuję Wam ukochani Dyecezyanie moi, świętą rzymsko-katolicką wiarę jako Wasz skarb najdroższy — tego skarbu pilnujcie zawsze troskliwie, ten skarb najkosztowniejszy dzieciom i wnukom Waszym i najpóźniejszym pokoleniom przekazujcie! Testamentem moim przekazuję Wam miłość gorącą Kościoła św. Matki naszej, Miłość i posłuszeństwo dla Ojca św. Namiestnika Bożego Papieża. — Wiara ta i ta miłość niech będą pochodnią życia Waszego, niech rozświeca ją wam wszystkie ciemności Wasze i poprowadzą Was bezpiecznie, do portu zbawienia. Pozostańcie na wieki szczerymi katolikami!“

Głos ten powszechną czcią otaczanego sługi Bożego nie przebrzmi z pewnością bez echa, a rady przezeń udzielane wryją się głęboko w serca tych, do których są skierowane. Ludność nasza niejednokrotnie już dała dowody swej miłości dla ks. arcybiskupa Issakowicza, wymownym jej dowodem będzie także obchód jego jubileuszu, którego urządzeniem zajmuje się komitet obywatelski, a jubileusz ten nie zawodnie wypadnie wspaniale.

Upadek Hiszpanii.

Obecna wojna hiszpańsko-amerykańska wykazuje coraz bardziej wewnętrzną niemoc Hiszpanii jako państwa, pomimo wielkich cnót wojskowych i bohaterstwa Hiszpanów, jako jednostek. W obec tego zrozumiałemi są pytania, jak mogło tak nisko upaść państwo niegdyś tak wspaniałe, że równych mu trudno znaleźć

26)

Pan Podfilipski.

(Ciąg dalszy).

Wróciliśmy do naszego hotelu, gdzie jest słynna na cały świat kuchnia panów Noël et Pattard. W restauracyi było tak rojno, że nie znajdywaliśmy wolnego miejsca. Ale sam pan Noël (czy też Pattard?), spostrzegłszy Podfilipskiego, powitał go uroczyście i wskazał osobny stolik na cztery osoby, ubrany kwiatami, zarezerwowany dla stałego i dostojnego gościa.

— Kogoż nam pan jeszcze przeznacza za towarzyszów? Są cztery nakrycia.

— Ba!—odrzekł pan Noël (czy też Pattard?) z jednym z tych francuskich giestów, nie dających ująć się w słowa, — myślałem, że panowie nie zechcą jeść sami; chciałem przewidzieć wszystkie zachcianki...

— Jest pan najuprzejmiejszy z gospodarzy.

— Panie hrabio! wykształciłem się, usługując Polakom...

Służący, świadek tych względów, okazywanych Podfilipskiemu przez pryncypała, ułożył chytrą swą i wytartą twarz w słodki uśmiech i polecał nam, jak znawca, niektóre potrawy i wina.

Zanim podano obiad, Podfilipski rzekł mi:

— On ma słuszność: dlaczego mamy jeść sami? Poczekaj pan. Widziałem w sali gry jedną starą przyjaciółkę, aktorkę z *Folies dramatiques*. Chodzi ze śliczną osóbką, której nie znam, ale która, jako typ, kogoś przypomina— zobaczy pan. Jeżeli tylko jedzą obiad same...

Zakręcił się po salach, ukłonił się kilka razy, poczem znikł na chwilę i ujrzałem go wchodzącego innem wejściem w towarzystwie dwóch kobiet.

Przedstawił mnie i rzekł do mnie po polsku:

— Siądźmy tyłem do sali, bo są tam znajome panie z Warszawy, którym kiedyś (oby jak najpóźniej!) będziemy musieli złożyć uszanowanie. Zresztą mnie wszystko jedno. Tu jesteśmy na prawach europejskich, a zobaczy pan, jakie interesujące kobiety.

— O, njé po polsku! — rzekła starsza.

Zaczem rozmawialiśmy po francusku. Starsza, już przejrzała, ale pięknej postawy i rysów, wyglądała na to, czem była: na sprytną aktorkę. Młodsza, zwłaszcza zdaleka, przypominała rzeczywiście trochę Falbanzę. Ten sam wzrost i kibić, to samo uczesanie i kolor włosów; ale była bez porównania śmielsza, wygadana i nie patrzyła, jak tamta, prosto w oczy.

Ażeby ułatwić rozmowę i ażeby każdy miał mniej więcej wyobrażenie, z kim je obiad, Podfilipski przedstawił mnie, jako „poetę“, a aktorka powiedziała, że „jej młoda przyjaciółka studyuje życie przed oddaniem się zawodowi artystycznemu“. Były to już jakieś informacye.

Gdyby nie pewna śmiałość form i wyrażeń, obie te panie mogłyby ujść za osoby dobrego towarzystwa. W każdym zaś razie starsza była bardzo wykształcona w kierunku literacko-artystycznym i na gruncie francuskiej literatury ledwo jej mogłem dotrzymać placu. Znała też Heinego, Dickensa, Tołstoja, Ibsena, Sudermana — Bóg wie kogo! W dyskusyi trzeba ją było brać na seryo, bo mówiła rzeczy dobrze pomyślane i z przekonaniem. Młodszej brakowało tej erudycyi, ale brakowało też i lat; utrzymywała się jednak, nie ziewając przy rozmowie. Przy kawie, obie wpadły w doskonały humor, i literatura poszła w kąt. Po obiedzie te panie poszły grać, niby za nas, bo naszemi kilku ludorami. Najęliśmy je więc grzecznie na rozmowę przy obiedzie.

— Widzi pan — rzekł Podfilipski, nalewając sobie ostatni kieliszek — naumyślnie dla pana zaprosiłem te dwie, żeby panu pokazać „gatunek“. Czy to nie są kobiety kompletne? Ładne, dobrych form, wesołe, oczytane, nawet rozumne,— o ile kobieta rozumną być może. Przecie pan ledwo nie skapitulował, jak zaczęła dowodzić, że Teofil Gautier, a nie Baudelaire był pierwszym dekadentem... A nawet w gruncie to dobra kobieta — taka sobie przyjaciółka, kolega; nie okpi cię, nie wyzyszcze, da chwilę rozrywki. Ja tam nie widzę żadnych wewnętrznych różnic między temi, a „damami ze świata“. Są różnice zewnętrzne: urodzenie, pozycya dziedziczna lub nabyta, czyli poprostu — wena. Powiem nawet panu, że kto lubi kobietę, to jest: kogo zajmuje to ładne stworzenie ze wszelkimi wdziękami i narowami, więcej się nauczy z dzisiejszej naszej rozmowy, niż z psychologicznych bzdurstw, uprawianych po warszawskich buduarach. Ażeby pan tę słyszał, jak ona się rozgada w innym kierunku, to niczem *Vie parisienne.* A! i jeszcze ma talent: rysuje karykatury — i jeszcze drugi: świszcze wybornie. No widzi pan! — żeby jej tylko dodać powierzchowność młodszej — byłaby idealna. Z czego wynika, że z dwóch kobiet półświatowych można złożyć jedną światową, czyli, że pierwsze są od drugich o połowę mniej warte. Robię dla pana to ustępstwo

Przez cały nasz dwutygodniowy pobyt pan Zygmunt był w równie doskonałym humorze. Nawet teorya jego stawała się lżejszą, mniej kategoryczną. Nawet spiżowa jego filozofia roztańczyła się na miękkim kobiercu, rozesłanym wszędzie w tych krajach przepychu.

Tylko wobec gry stał twardo przy zasadach. Te jego zasady nie tańczyły, lecz zbite w szereg szły codzień do krótkiej utarczki z potworem, ziejącym złotem — i wychodziły zwycięsko. Raz tylko jeden, pod koniec mego pobytu, powiedział mi:

— Dzisiaj pierwszy raz przegrałem.

— Ile?

— Jak zawsze — dzienną stawkę.

— A ileż ona teraz wynosi?

— Dwa tysiące trzysta sześćdziesiąt franków.

Z tego wniosłem, że pan Zygmunt grubo wygrał, bo wiem, że zaczął od pięciuset franków dziennie.

Życie mijało łagodnie, ślizgało się aksamitnie. Późny ranek wdzierał się do naszych sypialni z zapachem ziemi i morza; przez otwarte okno spoglądało się mrużąc oczy, na piękny rozjaśniony świat. Potem dzień był zawsze czemś okraszony — czy to weną w ruletę, czy powodzeniem w strzelnicy gołębi, czy wesołością obiadu, czy pięknością jakiegoś zachodu, a stale — niezrównaną kompanią pana Zygmunta.

Dzień mego wyjazdu zbliżał się tak szybko, że miałem wrażenie wieczoru, zapadającego po jednym, długim dniu. Wyjeżdżałem na noc do Paryża.

Pamiętam ostatni wieczór.

Gdy mówię: ostatni, nie jest to tylko zakończenie opisu mojej wycieczki, ale i wspomnień osobistych o Zygmuncie Podfilipskim. Żył jeszcze dwa lata potem, ale nie wrócił do kraju, i ja go już nie spotkałem.

Po obiedzie, zjedzonym we dwójkę z nim, wyszliśmy na plac przed kasynem. Ja byłem milczący i on nie wiele mówił. Chodziliśmy naokoło dywanów kwiatowych, oświetlonych z trzech stron snopami światła W restauracyach było pełno, u drzwi kasyna także tłum i na placu wielu przechodniów.

Dwie równoległe aleje z palm, idące w górę, aż do białego gmachu „Crédit Lyonnais“, na którym spoczywało pełne światło księżyca, były pogrążone w przeźroczystym cieniu.

Poszliśmy wolno w górę jedną z tych palmowych alei.

— Tak — rzekł po chwili Podfilipski — tu życie doszło do wspaniałego rozrostu. I moraliści, którzy sarkają na to piękne miejsce świata, są poprostu śmieszni nietylko dla tych, którzy ich mają sobie za bajbardzo, ale dla filozofa. Jakto? mnie ma być zakazany podniosły epikureizm albo innym, chociażby niższy sybarytyzm? Co to jest najprzód *zakazany?* Pytam przez kogo i w jakim celu? Pomijam pytanie: przez kogo? bo słucham tylko powagi obowiązującego prawa, inne zaś prawa sam sobie dyktuję. Więc w jakim celu?

Przecie każdy myślący człowiek rozumie, że jesteśmy przeznaczeni do użycia rozkoszy świata, nie do zaparcia się jej. Tylko pierwotne, ponure filozofie uciśnionych narodów, jak pierwszych chrześcijan, wymyśliły sobie na pociechę umartwienie ciała i to jeszcze w oczekiwaniu szczęśliwej wieczności, dla osiągnięcia tejże. Wychodzi więc na to: przecierpię tu i poczekam trochę, aby mi potem było długo dobrze. Każdy pragnie, aby mu było dobrze i skoro tylko gdzie dorwie się do kieliszka wina, pije, a kielichy goryczy oddala od siebie. Tak już człowiek jest stworzony, czyli jego wewnętrzna istota tak jest zbudowana. To rzecz oczywista.

Zdaje się więc, że wino płynie tu, że można go się napić, że do rozkoszy ciała nie brak niczego?

Ale nie wyłączam ja wcale potrzeb duchowych, a także nie twierdzę, żeby Montecarlo było uniwersytetem, akademią, albo szkołą życia dla niedorosłych. Jednak dla myśliciela ile tu nauki! Patrz pan....

Stanęliśmy blisko gmachu Crédit Lyonnais, na górze. Długa perspektywa między palmami spadała od nas prosto po kobiercach kwiatów na wielkie drzwi kasyna na plac zalany światłem i tłumem.

— Patrz pan! — W tym złotym domu wre ciągle, przez cały rok, walka o rozkosz życiową, walka otwarta, namiętna, ze wszystkiemi odcieniami charakterów, temperamentów i fluktuacyami szczęścia; — walka ostrzejsza, wyrazistsza, niż gdziekolwiek, międzynarodowa, krwawa i przepyszna. Czy to nie studyum? A te wszystkie ostatnie zdobycze praktyczności, dobrobytu, zastosowania technicznego intellektu do rozkoszy życia — czy to nie nauka? A te koncerty wyborowe i teatry, a ta architektura tytaniczna czasów nowożytnych, krzesząca skały na tarasy, budująca miasta w jednym roku, miażdżąca naturę młotem i prochami ku naszej uciesze — czy to nie sztuka?

Był jakby natchniony. Jego długi cień padał między dwa cienie palm, a postać wzorowała się silnie na jasnem tle „Crédit Lyonnais“. Odstąpiłem od niego parę kroków i przyglądałem się, jakby przeczuwając, że po raz ostatni go widzę.

(Dokończenie nastąpi).

między państwami chrześcijańskimi. Między odpowiedziami na to pytanie daje się często słyszeć takie, że do stanu wewnętrznej niemocy doprowadzili Hiszpanię katolicy-konserwatyści. Tymczasem wejrzawszy dokładnie w stosunki panujące w ostatniej połowie stulecia, przychodzi się do przekonania, że upadek siły państwowej i narodowej rozpoczyna się równocześnie z pierwszymi symptomatami upadku zasad katolickich i konserwatywnych. Katastrofy wewnętrzne, jakie spadały na Hiszpanię, wywołane zostały przeważnie przez masonów. Występując pod płaszczykiem liberalizmu, wdrażali wolnomularze w naród zasady bezwzględności w walce stronniczej. Gorący południowy temperament Hiszpanów, nie trzymany na wodzy przez cnoty chrześcijańskie, walkę stronnictw łatwo przerobił na walkę bratobójczą. Podczas gdy stronnictwa w innych narodach mają jeden ołtarz w idei chrześcijańskiej i narodowej, frakcye polityczne w Hiszpanii są jakby obce sobie, wrogo usposobione narody. Dzięki wolnomularstwu, które rozpanoszyło się tam niesłychanie, poczęła się w Hiszpanii walka nieubłagana między żywiołami opartymi na religii i tradycyi, a masonami, którym o nic nigdy tak nie szło, jak o zburzenie Kościoła. Przyszedł wreszcie czas, że masoni sprawowali prawie wyłącznie rządy w Hiszpanii. W roku 1871 po ustąpieniu królowej Izabeli wszystko, co tylko odgrywało jaką rolę, opierało się na zjednoczeniu 102 lóż masońskich. Wykonywano jeden zamach po drugim na instytucye kościelne, a dawne urządzenia polityczne i administracyjne zastępowano nowymi wynalazkami, które najczęściej upadały po krótkotrwałym żywocie.

Tak tedy upadek katolicyzmu, a wzrost masoneryi podkopały siły państwowe Hiszpanii i zrujnowały podstawy dawnej świetności. Dzięki temu kraj bogaty z natury, zamieszkały przez ludność przeważnie bardzo uzdolnioną i posiadającą świetną przeszłość cywilizacyjną, zaczął się wyczerpywać w bratobójczej walce stronnictw, pozbywających się coraz bardziej wszelkich zasad etycznych. Ta moralna dekadencya rozszerzyła się z czasem i na inne gałęzie życia społecznego. Monarchizm czy republikanizm, konserwatyzm czy liberalizm, to wszystko z wyżyny przekonań zeszło do niskiego poziomu haseł, a zamiast dążenia do dobra ojczyzny, zapanował przeważnie płytki, a pozbawiony zasad egoizm. W ten sposób doszło do tego, że zmiana rządu w Hiszpanii przestała oznaczać zmianę systemu, a oznacza zmianę jednostek, czerpiących bogactwa ze skarbu państwowego. Że taki proceder oprócz moralnego musiał sprowadzić i upadek materyalny, to już łatwo zrozumieć, gdy się weźmie na uwagę bezwzględność egoizmu.

Bardzo poważne czasopismo niemieckie *Historisch-politische Blätter für das katholische Deutschland*, poświęcając wewnętrznym stosunkom Hiszpanii obszerny rozbiór, szeroko rozpisuje się o rządach masonów, przybierających wedle potrzeby nazwę konserwatystów lub liberałów. Przywódcą ich np. był zamordowany w jesieni zeszłego roku prezes ministrów Canovas del Castillo. Był to mąż żelaznej woli, umiejący podczas swej dyktatury utrzymać w łączności różnorodne żywioły liberalne. Ale i on był masonem, tylko umiał ocenić potrzebę uwzględnienia usposobienia i zapatrywań ludu katolickiego i w obec coraz groźniejszego republikańskiego i anarchistycznego prądu w kraju chciał znaleźć poparcie w sferach narodu, jedynie jeszcze konserwatywnych. Królowa regentka natychmiast po objęciu rządów pragnęła ministerstwa Canovasa, ale on odmówił i radził, żeby jego współzawodnikowi, teraźniejszemu prezesowi ministrów i arcyliberałowi Sagaście powierzyła utworzenie gabinetu. Mówiono nawet, że pomiędzy obydwoma tymi panami istniała ugoda, wedle której mieli na przemian rządzić krajem, każdy przez dwa lata, po upływie których miała przypaść kolej na drugiego. Mieli się oni luzować w rządach i w pobieraniu pensyi ministeryalnej regularnie, jak konie pocztowe przy żłobie. Za każdą zaś razą miała następować wielka powszechna zmiana urzędników; począwszy od gubernatorów prowincyi, wojskowych i cywilnych nie tylko aż do burmistrza, lecz aż do najniższego sekretarza i zamiatacza ulic, wszyscy mieli tracić swoje stanowiska i oddać je zwolennikom nowego ministerstwa. Gdy zaś Canovas zginął tragiczną śmiercią i stary jego pozorny przeciwnik objął kierownictwo nawą państwową, cała falanga jego liberalnych przyjaciół rzuciła się do obejmowania posad, po wysadzonych z siodła przyjaciołach zabitego Canovasa.

Właściwy lud jest zupełnie obojętny na zdarzenia polityczne, na sprawy państwowe i nazywa wszystkich, którzy sprawują jaki urząd, od prezesa ministrów aż do prostego stróża wiejskiego, złodziejami i oszustami. Nie robił on żadnej różnicy pomiędzy Sagastą a Canovasem, pomiędzy liberałem a konserwatystą; tak samo nienawidzi republikanów, jak karlistów; a anarchistów nie uważa za gorszych od jakiejkolwiek partyi monarchicznej. Wszyscy ludzie, o których tylko rozchodzi się pogłoska, że się zajmują polityką, są w oczach ludu oszustami, którzy czekają tylko stósownej chwili, żeby mogli z mocy prawa złupić swoich współobywateli. Niczego lud nie obawia się więcej nad zmianę rządu. Gdyby ministerstwo po prostu na inne się zamieniało, nie troszczyłby się lud o to wcale. Ale z ministerstwem ustępują wszyscy, którzy sprawują jakiś urząd. Przybywają wtedy zgłodniali politycy i ubiegający się o posady ze wszystkich stron kraju do Madrytu, żeby, jak owady się roją na padlinie, korzystać z dziedzictwa po upadłem ministerstwie. Nareszcie gdy po długich wysiłkach rozchwytane są wszystkie stanowiska urzędników w kraju, setki kandydatów z niczem powracają do domu, wygadują na wiarołomność ministrów, natychmiast przerzucają się do opozycyi, albo tworzą nowe stronnictwo i utrudniają pracę rządowi, ponieważ umieją zdradzać wiele rzeczy. Szczęśliwym, którym otworzono złotą drogę do żłobu państwowego, składają powinszowania ich wierzyciele, a politycy drugorzędni tak samo im się naprzykrzają, jak oni niedawno naprzykrzali się poprzednim ministrom.

Tą drogą doszła Hiszpania do teraźniejszej bezsilności. Zabija ją obfitość stronnictw, które wszędzie tem się odznaczają, że czem ich więcej, tem są egoistyczniejsze.

Niewolnicy.

Wiadomo, z jaką stałością i energią stan kalifornijski prowadził kampanię przeciwko imigracyi chińskiej w Stanach Zjednoczonych, kampanię zwycięską, gdyż w chwili obecnej przyjazd synów państwa niebieskiego do Kalifornii jest zabroniony, tak, iż nawet Chińczycy, przybywający na terytoryum tego stanu oddzielnie w celach handlowych muszą tam dopełniać formalności bardzo skomplikowanych.

Przyczyną najgłówniejszą tego wstrętu amerykańskiego do synów państwa niebieskiego jest przedewszystkiem to, iż Chińczyk, przybywając na grunt amerykański odrzuca wszelkie skrupuły, nie zna żadnych hamulców etycznych, myśli tylko o robieniu pieniędzy, choćby do tego celu służyć mu mogły jedynie środki zbrodnicze. Od bardzo dawnych czasów Kalifornia była Eldoradem dla emigrantów chińskich, którzy zalali, rzec można, San Francisco, a w mieście tem stali się krzewicielami występku i rozpusty. Między innemi od czasu przyłączenia stanu kalifornijskiego do Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej, niewolnictwo istniało pomiędzy Chińczykami, zamieszkałymi w San Francisco. Dziś, pomimo wszelkich utrudnień, zarządzonych przez władze stanu, handel niewolnikami kwitnie w San Francisco i przynosi niecofającym się przed niczem przedstawicielom rasy żółtej dochody bardzo znaczne.

Dziś dla nikogo nie jest już tajemnicą, iż dwa stowarzyszenia, zorganizowane według wszelkich wymagań spółek handlowych, zajmują się w Kalifornii handlem niewolników. Około 3.000 Chińczyków, zamieszkałych głównie w San Francisco, czerpie środki utrzymania ze sprzedaży i kupna niewolników pochodzenia chińskiego. Na 20.000 Chińczyków w Kalifornii zaledwie 1000 ma żony legalne; reszta trzyma w swych domach wyłącznie niewolnice, które, oczywiście, traktowane są po barbarzyńsku.

Przed kilku tygodniami jedna z takich spraw nietoperzowych wyszła na światło dzienne. Młoda Chinka, przywieziona przed rokiem z okolic Kantonu, nabyta została do domu kupca chińskiego, gdzie, jako niewolnica, spełniała wszelkie posługi. Kobieta, nie wiedząc nic o tem, że z chwilą wstąpienia na terytoryum amerykańskie stała się wolną, cierpiała dolę swą w milczeniu. Dopiero w ostatnich czasach, gdy „właściciel" chciał zabrać jej dziecko dwuletnie, aby je zbyć więcej dającemu, zbuntowało się serce matczyne i Chinka uciekła do pobliskiej misyi ewangelickiej. Tu objaśniono ją po raz pierwszy, iż prawo amerykańskie nie zna niewolnictwa, że jest wolna, i że w każdej chwili może rozporządzać sobą, jak się jej podoba.

Zdawało się, że sprawa na tem skończona. To też można sobie wyobrazić zdumienie bogobojnych członków misyi, gdy ujrzeli niebawem w swych murach osobę urzędową, konsula chińskiego, który miał bezczelność upomnieć się o zbiegłą niewolnicę. Oczywiście, pokazano mu drzwi, a wówczas „właściciel" kobiety wytoczył misyonarzom proces „o gwałt i samowolne pozbawienie wolności poddanej państwa chińskiego". Proces trwał długo, gdyż sądzenie spraw obcych poddanych połączone jest w stanie kalifornijskim z licznemi, przewlekającemi proces formalnościami. Ostatecznie sąd żądaniu właściciela i konsula odmówił, ku wielkiemu zgorszeniu poddanych Bogdychana, którzy uważali się za pokrzywdzonych przez bezwzględne prawa Stanów Zjednoczonych.

Na giełdzie ludzkiej w San Francisco Chinka 10 do 12-letnia kosztuje od 750 do 2.500 franków. Dziewczęta 16-letnie płacone są po 2.500 do 7.000 franków. Ceny kobiet starszych, jako znajdujących się na gospodarstwie i bardziej odpowiedzialnych w gospodarstwie domowem, dochodzi nieraz do 20.000 fr. Pośrednicy od ceny kupna pobierają 20—30%. Na jednej z ulic San Francisco istnieje lokal, w którym najzupełniej jawnie odbywają się transakcye za pośrednictwem maklerów, specyalnie poświęcających się temu procederowi.

Aby znieść niewolnictwo murzynów, wielka rzeczpospolita amerykańska nie cofnęła się przed jedną z najkrwawszych w historyi wojen domowych. Wojna ta kosztowała masy krwi i pieniędzy. Z oddzielnych Stanów najpowszechniejszy udział w walce i w ofiarach pieniężnych brała Kalifornia. Ironia losu sprawiła, iż właśnie w stolicy tego stanu kwitnie w najlepsze niewolnictwo, wprawdzie wśród ludności napływowej, ale wbrew literze i zmuszające do liczenia się ze sobą ze względu na niezwykły spryt Chińczyków i ich wytrwałość w dążeniu do raz obranych celów.

Echa z wód.

Krynica. Kto chociaż tylko jeden sezon przepędził w Krynicy i poznał jej zalety, ma już wyrobione zdanie o tem zdrojowisku. Dla informacyi zaś tych, którzy dla poratowania zdrowia wybierają się w porze obecnej do miejsc kuracyjnych za granicą, przytoczymy tu kilka ustępów z wydanego właśnie sprawozdania z ruchu i czynności c. k. zakładu wodoleczniczego za rok 1897. Zakład ten w roku ubiegłym miał już tyle gości, iż stanął pod względem frekwencyi na pierwszem miejscu po wielkim zakładzie prof. Winternitza w Austryi (Kaltenleutgeben). Ogółem leczyło się w tym zakładzie krynickim 761 chorych, a z tych 460 wyzdrowiało zupełnie, 245 osiągnęło znaczną poprawę zdrowia, 40 osób mniej wybitne polepszenie, a tylko 6 osób opuściło zakład bez pożądanego rezultatu. Tak wysoka frekwencya pacyentów jest najlepszem dla zakładu świadectwem, że zastosowane w nim leczenie przynosi korzyści chorującym pacyentom. Pomiędzy wyleczonymi pacyentami było najwięcej chorych na układ nerwowy, w drugim rzędzie udawano się tam z cierpieniami przewodu pokarmowego i dróg oddechowych, następnie znaczną liczbę pacyentów sprowadziły do zakładu: niedokrwistość, zatrucia chroniczne i wątłość ustroju, spory wreszcie zastęp ludzi zdrowych spieszył do zakładu, by odzyskać przez hydropatyę siły, zmęczone pracą zawodową.

Zakład hydropatyczny w Krynicy, istniejący od lat 14-tu, znajduje się w nader korzystnem położeniu. Ożywczy klimat (1600 metrów nad poziom morza), położenie zaciszne a słoneczne w parku, powietrze czyste, przesiąkłe wonią lasów świerkowych, dalej obfitość naturalnych środków leczniczych, służba doświadczona, odpowiednio urządzony pensyonat, — to wszystko składa się na leczenie możliwie wygodne i skuteczne. Sam Zakład posiada dwa oddziały: dla pań i panów; każdy składa się z obszernej sali, ogrzewanej i dobrze wentylowanej, posiadającej wszelkie najnowsze urządzenia, — oraz z kilka mniejszych pokojów łaziebnych. Nadto w obu oddziałach znajdują się osobne gabinety I klasy. Poczekalnie, kasa, pokoje ordynacyjne i gabinety do elektryzowania, masowania, zawieszań, inhalacyi tlenu i t. d. znajdują się w budynku osobnym, który jest połączony z zakładem obszerną, krytą galeryą.

Na sezon bieżący służba lekarska składa się z lekarza-kierownika i jego dwóch asystentów, masażysty i masażystki, oraz z 12 kąpielowych mężczyzn i tyluż kobiet, dobrze wyćwiczonych. Lekarz kierownik jest obecny w zakładzie przez cały czas trwania procedur, z wyjątkiem godzin przeznaczonych na odwiedzanie chorych. Ciągły nadzór nad wykonywaniem procedur w obu oddziałach sprawują lekarze asystenci.

Pensyonat hydropatyczny dra Ebersa przy zakładzie urządzony jest tak, by pacyenci znaleźli w nim wszelkie wygody. Składa się on z dwóch domów, mieszczących 65 pokoi, posiada obszerne ogrody i rozliczne urządzenia, służące do rozrywek i hygienicznych ćwiczeń ciała. Pacyent odbywający przeto kuracyę w sposób najracyonalniejszy, mając zapewnione odpowiednie pożywienie, wygody i spokój, tak przy leczeniu potrzebny.

Z izby sądowej.

Lwów 6 lipca.

(*Nieprzyjaciel harmonii.*)

Sąd przysięgły rozpatrywał wczoraj skargę przeciw właścicielowi z Haliczanowa Michałowi Hawryłów, oskarżonemu o zabójstwo 18 letniego chłopca, syna kolonisty Schreinera. Pewnej niedzieli po południu przybył Schreiner wraz z kilku rówieśnikami na obejście Hawryłowa z harmonią i sprawił tam hałas, który do tego stopnia zdenerwował Hawryłowa, że porwał za drąg i uderzył nim kilkakrotnie Schreinera w bok, tak że ten zaraz następnej nocy umarł. Sędziowie przysięgli potwierdzili pytanie w kierunku zabójstwa, wskutek czego trybunał skazał podsądnego na 8 miesięcy ciężkiego więzienia.

Lwów, 7 lipca.

(*O obrazę honoru.*)

Dziś rozpoczęła się przed ławą sędziów przysięgłych rozprawa przeciw p. Bohdanowi Czajkowskiemu, byłemu odpowiedzialnemu redaktorowi nie wychodzącego już pisemka antisemickiego *Nowy Naród*, oraz przeciw właścicielowi drukarni Szczęsnemu Bednarskiemu, który to pismo u siebie drukował. Oskarżenie wychodzi ze strony prywatnej, mianowicie oskarżają p. Czajkowskiego dwaj kupcy izraelicy ze Lwowa pp. Cukier i Feigl o to, że w piśmie swojem atakował ich w sposób uwłaczający ich dobrej sławie i honorowi. I tak w artykule pt. „Baczność przed oszustwem" zarzucił Czajkowski Cukierowi, że się podszywa pod imię „Leszek", w rzeczywistości zaś nazywa się „Lejbuś", i że tumani swoich nabywców, udając chrześcianina. Między epitetami, którymi Czajkowski obrzucił Cukiera, znajdują się wyzwiska tak nie wybredne jak „pejsaty Leszek", „oszust", „parszywy łotr".

Najcięższy z zarzutów Czajkowskiego, skierowanych przeciw Cukierowi, jest, iż kupiec ten w „norze swojej pod godłem Czerwonego Krzyża sprzedaje artykuły, których nawet nie umiejący się rumienić organ żyda Libena właściwem nazwiskiem nazwać nie chce", i że „Cukier formalny nierząd tym sposobem propaguje". Skoro zaś Czajkowski dowiedział się, że Cukier wytacza przeciw niemu proces o obrazę honoru, zamieścił w swojem piśmie ironiczny artykuł pt. „Wesoły dzień" i doniósł w tym artykule swoim czytelnikom, że Cukier wniósł skargę o obrazę swego „żydowskiego honoru". Podobną urazę ma do p. Czajkowskiego inny kupiec lwowski Ludwik Feigl, który pochodzi z Czech i jest luteraninem w tutejszej kolonii czeskiej. Otóż p. Czajkowski w pogoni za wyszukiwaniem sensacyjnych antysemickiemi wyzyskał ten fakt, i w notatce kronikarskiej wyraził się, że jest hańbą, iż „czescy bracia [illegible] się kompromitują".

Wszystkie te artykuły były w *Nowym Narodzie* drukowane w miesiącach jesiennych z. r. Dodać trzeba, że p. Czajkowski obu tych izraelitów, których w swoim piśmie zaatakował, osobiście wcale nie znał.

Rozprawę prowadzi radca p. Oleński, oskarżycieli zastępuje dr. Samper, obrońcą jest p. Domiczek.

Na początku rozprawy zajmowano się rozpatrywaniem tego, o ile słusznem jest oskarżenie uczynione przez p. Cukiera. P. Cukier przedłożył swój dyplom uniwersytecki na dowód, że „istotnie nazywa się Leszek nie Lejbuś", dalej udowadniał, że instytucya Czerwonego krzyża nie ma nic wspólnego z wyznaniowością, że więc należąc do niej, miał prawo pod jej firmą sprzedawać artykuły, które mają zastosowanie hygieniczne i bywają sprzedawane we wszystkich aptekach.

Na temat ten wywiązała się polemika między zastępcą oskarżycieli p. drem Samperem a oskarżonym, którego z powodu ponownych obelżywych i drastycznych wyrażeń i wycieczek przeciwko „tym, którzy żrą chleb z rąk żydowskich", musiał przewodniczący przywołać do porządku.

W toku tej polemiki odświeżono jeszcze i inną sprawę honorową p. Czajkowskiego: z akademikami z „Czytelni akademickiej". Rzecz się miała tak, że p. Czajkowski w piśmie swojem napadł na aptekarza izraelitę p. Piepesa, i za to został przez jego syna wyzwany na pojedynek, którego jednak nie przyjął. Otóż kilku kolegów młodego Piepesa, między nimi prezes Czytelni p. Wróblewski umieścili wówczas w kilku dziennikach list otwarty do p. Czajkowskiego, piętnując go mianem nikczemnego tchórza. P. Czajkowski nie pozostał dłużnym odpowiedzi i ze swej strony zamieścił w pismach antysemickich wytłumaczenie swego kroku. Stylizacya tej odpowiedzi jest bardzo niezręczna, gdyż wywody swoje przeplatał autor anegdotami wprost nieprzyzwoitemi i wstrętnemi. Oba te dokumenty odczytano.

Rozprawa trwa dalej.

Rzeszów, 6 lipca.

(*Rozruchy antyżydowskie.*)

Przed zwykłym trybunałem tutejszego sądu stanęli dziś oskarżeni o napad na żydowską karczmę czterej wyrobnicy, a mianowicie: 28-letni Jan Górecki, 25-letni Józef Pietrzyk, syn Wawrzyńca, 21-letni Józef Pietrzyk, syn Jana i 18-letni Franciszek Pietrzyk, oraz służący 23-letni Szymon Garlak. Akt oskarżenia podaje, że dnia 18 czerwca b. r. wieczorem przyszedłszy do karczmy w Łubeni, pili oni dużo wódki i w ciągu tego rozmawiali o tem, że w Jaśle, Strzyżowie i Frysztaku właśnie biją żydów, że wolno będzie bić i rabować jeszcze przez cztery tygodnie, byle nie zabić i nie podpalić, że dalej wyszło z gazet, iż za kilka dni przyjdzie kolej na żydów z Łubeni. W trakcie tych opowiadań zażądali jeszcze wódki, ale karczmarz, Joel Kleinmunz, odmówił im jej. Na to przyskoczył doń Garlak i uderzył go dwa razy pięścią w kark, zaś towarzysze Garlaka w tej chwili rzucili się ku szafce z wódką, przewrócili ją, i poczęli tłuc szyby i lampę. Karczmarz ze strachu schował się do alkierza, a jego „goście" dalej plądrowali i niszczyli, co na drodze spotkali. Dopiero zawezwany przez żonę karczmarza wójt wypędził awanturników.

Świadkowie potwierdzili powyższe fakta, trybunał przeto skazał Garlaka na 3 miesiące, a jego towarzyszy na 2 miesiące więzienia. Wszyscy oskarżeni tłumaczyli się tem, że byli mocno pijani i zaprzeczali, jakoby mówili, iż nadeszło pozwolenie na bicie i rabowanie żydów.

Kołomyja 6 lipca.

(*Katastrofa kolejowa pod Turką.*)

Wczoraj rozpoczęło się przesłuchiwanie świadków. Więc przedewszystkiem przesłuchano kilka osób celem przekonania się, jakiego rodzaju wrażenie wywierała nawałnica w nocy z dnia 27 czerwca r. z. na osoby, jadące w wagonach, na konduktorów i t. d. Pokazało się z tych zeznań, że nawałnica nie była zwykłą burzą, jakie się w tych stronach zdarzają, ale szalonem rozpętaniem się żywiołów, które powinno było spowodować oskarżonego Wilińskiego do zastanowienia się nad losem osób, jadących pociągiem, gdyby miał więcej sumienności.

Szczególnie silne wrażenie sprawił zeznaniami świadek Konstanty Schneider, były strażnik [illegible] w Piadykach, dla kontroli akcyzowej. Tuż naprzeciw mostu zawalonego wznosi się budka strażnika, gdzie Schneider pełnił służbę swoją. W nocy dnia 27 czerwca — opowiada ten świadek — lał deszcz jak z konwi i pioruny waliły raz po razu. Patrząc na to, co się dzieje, sam do siebie mówił: „Takie grzmoty i błyskawice, a pociągi puszczają". Samotność, przestrach, skłoniły go do opuszczenia posterunku. Poszedł do pobliskiego domu fiakra Wieselberga, brnąc w wodzie. Bawił tam chwilę, przypomniawszy jednak sobie, że zostawił w budce rzeczy swoje, powrócił tam, ażeby je zabrać. Woda sięgała mu po pas i wciąż rosła, bo szła wałem. Otworzył drzwi od budki, rzeczy już nie było. Woda sięgała mu po ramiona. Musiał się ratować. Wydostał się na dach, gdzie przesiedział do 3 rano przemoczony do nitki i zziębnięty. Widział naprzód pociąg ciężarowy, a w jakie 20 minut później, przy oświetleniu błyskawic i piorunów, ujrzał usuwające się kamienie z przyczółka mostu, naprzeciw położonego. Drżał na myśl, że za chwilę przejedzie tamtędy pociąg osobowy na pewną zgubę. Zaiste, musiało to

32)

A. KALLAS.

POCZTA

POWIEŚĆ

(Ciąg dalszy).

— Czy i pani spodziewa się gości? — spytał Wilhelm, spostrzegłszy na poczcie świeże zmiany.

Opowiedział Róży przy tej okazyi, że we dworze „robią się także wielkie przygotowania" na przyjęcie narzeczonego Loli.

— Wszak pani otrzymała uwiadomienie o zaręczynach Loli z mecenasem Selingerem? — spytał w trakcie tego opowiadania.

— Otrzymałam — odparła Róża lakonicznie.

— Musi go pani poznać! — mówił Wilhelm dalej — zaprosimy panią do dworu, gdy przyjedzie, to go pani zobaczy. Śliczny mężczyzna, a wymowę ma taką, jak ten sławny grecki mówca... jakże się nazywał?

— Demostenes — poddała Róża.

— A tak.. Demostenes!...

— Czy panna Lola kocha swojego narzeczonego?

— Dobre! — zaśmiał się. — Będzie panią mecenasową i nie ma go kochać? To proszę pani w książkach tylko o miłości piszą. Na świecie obejdzie się bez niej. Byle partya była dobra i stosowna. Bo trzeba pani wiedzieć, że moi rodzice zważali bardzo na dobre urodzenie narzeczonego Loli. Selingerowie, to rodzina arystokratyczna; wuj mecenasa Selingera, dyrektor Milner... pani go zna?... był tu przed dwoma tygodniami...

— Ten niski... rudy?

— Ten sam! To milioner, proszę pani! Był tu, aby obejrzeć nasz tartak; chce bowiem przystąpić jako wspólnik do naszego interesu.

— Czy pan Juliusz w istocie opuszcza Jarowińce? przerwała Róża.

— Nieodwołalnie! Wuj kupił wioskę w okolicy Bytomia i stawia tam tartak parowy; w jesieni sprowadzi się do nowej siedziby.

— I nie obawiacie się panowie konkurencyi?

— My?! Głupstwo, proszę pani! Firma Gruber i Synowie nie potrzebuje obawiać się współzawodnictwa!

Róża nie dziwiła się temu zuchwalstwu; poznała się już dawniej na charakterze tego młodzieńca i przestała na niego gniewać. Owe intermezzo, które zaszło, kiedy on ją po wieczorku we dworze odprowadził do domu, ignorował uparcie i zachowywał się tak, jak gdyby o całej rzeczy zapomniał. Wprawdzie z początku omijał pocztę starannie, ale po chorobie Róży, często sam przychodził po listy; a wtedy zatrzymywał się dłużej przy baryerze i nie czekając na zaproszenie, rozprawiał o tem, lub owem z najzupełniej zimną krwią, pewny nietykalności swojej, jako syn „szefa", który biednej poczmistrzyni płaci pięć guldenów miesięcznie za to, żeby nawet w godzinach nieurzędowych dla urzędników tartaku, kancelarya jej stała otworem.

Czasami Wilhelm posuwał się tak daleko, że wszczynał z Różą rozmowę o młodym Gelberze i dawał jej rady i wskazówki; wyrażał się bez ogródki o najdrażliwszych prywatnych jej sprawach.

A co, czy nie przepowiedziałem jak się skończy ta przyjaźń z Gelberami? — mówił raz do niej — Nie chciała mi pani wtedy wierzyć! Pragnęli panią wciągnąć do swego domostwa, a gdy im się to nie udało, to dokuczali pani i dokuczają jak mogą. Ale uspokój się pani! Nie długie ich panowanie! Mój ojciec był niedawno w stolicy i słyszał tam, że mają Gelbera przenieść w inne strony, a Tekli odbiorą dyplom. Panowie w Dyrekcyi są oburzeni, że Gelber drwi z nakazu oddalenia Tekli. A co, o Zorżu, wieść zaginęła — spytał w końcu — Ha!... Jaki ojciec, taki syn — dodał sentencyonalnie i zabrawszy listy, wyszedł z powagą.

— O, ten nie będzie potrzebował uciekać za ocean! — myślała Róża, patrząc za Wilhelmem. Jego ojciec nie myśli o niczem, jak tylko, żeby uzbierać co rychlej majątek. Jeśli nazwisko jego szpeci niskie pochodzenie, to on je skwapliwie retuszuje złotem i blaskiem zaszczytnych koligacyj, które grubo opłaca. A Gelber?... Nie, Zorż nie winien temu, że musiał uciekać jak zbieg przed hańbą rodziny.

Nie była wcale oburzona z powodu brutalnych słów Wilhelma, nauczyła się być obojętną w obcowaniu z ludźmi, do których los ją zagnał. Nie kryła się już wcale z tem, że nimi gardzi; wydali się jej śmiesznemi i tak małymi, że ich nie brała w rachubę.

Dziwiła się nieraz, że przyszła do tego stanu duszy w krótkim stosunkowo czasie. Widocznie umysł jej dojrzał dopiero pod naciskiem brutalności ludzkiej.

— Ej, zbuntowali panią! — powiedział jej niedawno stary Gruber, żartobliwie grożąc jej palcem.

Przyjęła to upomnienie z przyjaznym uśmiechem; ten przynajmniej pozostał dla niej jednakowo dobrym; winna mu była wdzięczność prawdziwą. Lecz mimo szczerej sympatyi, jaką miała dla starego Grubera, zdawała sobie jasno sprawę z tego, że ten zacny ojciec rodziny w interesach kierował się i kieruje nadal odmienną zupełnie etyką od tej, jaką uznaje w życiu rodzinnem i towarzyskiem.

Doświadczenia, jakie na poczcie w Jarowińcu porobiła, przejmowały ją głębokim jakimś żalem i smutkiem; czuła się znużoną na duszy i jakby samą jedną wśród rozległej pustyni. W takich chwilach wyrywała się z tęsknotą do cichego domu pocztowego w Łęgu, co nęcił ją jak oaza i obiecywał nieznane dotychczas rozkosze.

XI.

Po raz pierwszy od lat trzydziestu, odbyto na poczcie u Gelberów skontrum kasy z największą skrupulatnością. Wysłany tym razem komisarz miał minę surowego biurokraty, a zły humor Gelbera nie przestraszał go wcale, owszem skłaniał go do tem większej akuratności.

— Żaden komisarz nie odważył się jeszcze skontrować kasy w taki sposób, jak to pan czyni! — wołał zaperzony poczmistrz. — Poskarżę się w Dyrekcyi.

— Wolno panu! — odparł komisarz, otwierając kasę. — Tymczasem proszę o spokój i winne względy, bo nie występuję tutaj samowolnie, ale jako wysłannik Dyrekcyi.

— Ja o Dyrekcyą nie dbam!

— Złożyłeś pan tego dowody! — odparł komisarz flegmatycznie.

Zamknął kasę i zażądał, aby mu pokazano książki.

— A co, kasa w porządku?! — zawołał Gelber. — Myślałeś pan może, że tak nie będzie! Gelber trzydzieści lat tu siedzi i Dyrekcya wie, jaki tu wzorowy porządek! Nie pozwolę też na żadne szykany; a jeśli pan do stolicy wróci, to proszę powiedzieć w Dyrekcyi, że tam nie mają prawa narzucać mi ekspedytorów, ani rozkazywać kogo mam oddalić. Wybór ekspedytora, lub ekspedytorki, do mnie tylko należy.

— Rozstrzygnie to Dyrekcya! — rzekł komisarz. — Postępowanie zaś pana w obec mnie, niczem nieusprawiedliwione, poddam pod sąd władzy kompetentnej. Znasz pan regulamin i wiesz, jak postępować należy.

— Za stary jestem na nauki; już się nie douczę, czego nie umiem. Cóż, książki w porządku?

— W porządku...

— A widzi pan! Prowadzi to wszystko moja ekspedytorka; zdolności jej są fenomenalne, ona jest moją prawą ręką, oddalić jej nie mogę.

— Sprawa ta nie do mnie należy.

— Ale możesz pan powtórzyć to wszystko w Dyrekcyi. Teklo, opowiedz panu komisarzowi jak tu ludzie intrygują, aby cię wygryść z poczty.

Z kanapy powstała w tej chwili Tekla i zbliżyła się do komisarza.

— Proszę pana komisarza.., — zaczęła mówić drżącym głosem.

Komisarz przerwał jej wymownym gestem.

— Szkoda słów pani, — rzekł, rzucając na nią niechętne spojrzenie — to nie leży w mojej kompetencyi; nie mięszam się do spraw prywatnych.

— A czemu Dyrekcya mięsza się do moich prywatnych stosunków? — wybuchnął Gelber. — Wiem, że tylko na skargę mojej żony, która chciałaby zająć w kancelaryi miejsce ekspedytorki, Dyrekcya wydała śmieszny rozkaz, abym oddalił pannę Teklę Latacz.

— Pani Gelber, o ile wiem, nie powróci do kancelaryi pana; dostała przecież posadę administratorki na poczcie w Miloszynie — rzekł komisarz.

— Co, co? Moja żona dostała pocztę?

Wiadomość ta spadła na Gelbera całkiem niespodziewanie.

— Tekluś, czy słyszysz? — zawołał, do ekspedytorki się zwracając.

— Słyszę — odparła Tekla.

— W dyrekcyi sprzysięgli się na moją zgubę! — wybuchnął Gelber. — Dyrekcya mięsza się do moich spraw familijnych, wspiera moją żonę przeciw mnie! Koniec świata!

Biegał po kancelaryi, jak opętany.

— Postawiła na swojem! — mówił, ocierając pot z czoła. — Teraz będzie wielką panią! Piękne rzeczy! Ona tam może nagadała, że nie daję dosyć na utrzymanie domu. Słyszysz, Tekluś! Ja nie daję na utrzymanie domu. Przecież ty prowadzisz książki rachunkowe; pokaż je panu komisarzowi. Nie! Ja te książki poślę do dyrekcyi! Ja tę całą sprawę podam do gazet.

Komisarz uśmiechnął się nieznacznie.

— Rób pan, co się panu podoba — rzekł. — Ja proszę o konie do Jarowińca.

(Ciąg dalszy nastąpi).

być straszne uczucie bezsilności u tego człowieka, który widział grożące niebezpieczeństwo i chciał mu przeszkodzić, a nie miał do tego żadnych środków. Za chwilę nadjechał istotnie pociąg osobowy Schneider krzyczał w niebogłosy i dawał świstawką sygnały, ażeby pociąg powstrzymać. Niestety nikt go nie słyszał i pociąg w przepaść runął, grzebiąc pod sobą 9 ofiar.

Na zapytanie zastępcy prokuratora p. Kozaczka, zeznaje, że przed nadejściem pociągu osobowego nie widział na torze i na moście żadnego człowieka, idącego ze światłem.

Inni świadkowie opowiadają również o owej burzy wstrząsające szczegóły. Przedsiębiorca fiakrów Wieselberg, mający dom niedaleko mostu nad Kozaczówką zeznaje, że wróciwszy do domu zastał żonę z dzieckiem u piersi siedzącą na drzwiach, a dzieci w kolebkach pływające pod sufitem. P. Bugno, naczelnik stacyi turczańskiej, opowiada, że woda na torze w Turce sięgała po kostki i że uznał za stosowne zatrzymać w Turce pociąg towarowy w ową noc. Inny świadek potwierdza zeznania Schneidra, którego widział siedzącego na budce i wołającego o ratunek.

Do wiadomości zastępcy prokuratoryi doszło w czasie rozprawy, że wśród personalu kolejowego w Kołomyi była podczas burzy roztrząsana kwestya, czy pociąg osobowy ma być puszczony czy nie. Podobno niejaki Szaja Chajes zamierzał kupić owej nocy bilet do Lwowa, ale kasyer kolejowy p. Schäffer odradzał mu jechać. Chajes jednak mimo to bilet kupił. Wyszedłszy na peron przeraził się burzy i został w Kołomyi.

Dowiedziano się także, że osk. Wiliński, po katastrofie rozmawiał z przedsiębiorcą budowlanym p. Racieńskim a na pytanie tego ostatniego, kto będzie za ów straszny wypadek odpowiedzialnym, odrzekł, że on sam umywa ręce od winy, zasięgał bowiem rady szefa stacyi a ten pociągu wstrzymywać nie kazał. Dla sprawdzenia tej okoliczności zażądała prokuratorya powałania p. Racieńskiego na świadka, oraz osób, które ową rozmowę słyszały.

Dziś uwięziono podczas rozprawy świadka Lepiarza, podejrzanego o złożenie fałszywego świadectwa.

Rozprawa trwa dalej.

Kronika.

Lwów 7 lipca.

Narada posłów sejmowych. Jedno z pism donosi, że tymi dniami ma się odbyć we Lwowie narada posłów sejmowych z powodu ogłoszenia stanu wyjątkowego. Pismo to nie powiada, ani kto zwołuje tę naradę, ani jaki jest program jej obrad. Nie można więc mieć żadnego zdania o tej akcyi, ani dodatniego, ani ujemnego, bo się nie wie w jakim celu akcya ta jest przedsięwzięta: czy, żeby zrobić demonstracyę bezwartościową, czy też, żeby rozpocząć akcyę poważną, zmierzającą do naprawy stosunków społecznych i politycznych w naszym kraju. Gdyby szło o to drugie, gdyby posłowie nasi, zbadawszy, że źródłem złego jest wolność szczucia i jątrzenia, wyuzdanie prasy, rozwydrzenie mówców ludowych i socyalistycznych, pobłażliwość sądów w karaniu przestępstw takich jak lichwa, oszustwo, rozpajanie ludu, wyzyskiwanie go itd., słowem, żeby ci posłowie, wziąwszy głębiej tę sprawę, uchwalili na takiej naradzie petycyę do rządu i do parlamentu, wzywającą o jurydyczne środki przeciw tym wszystkim biedom naszym socyalnym i politycznym, w takim razie narada owa byłaby nie tylko zwrotnym punktem w upadku naszego kraju, ale nadto rozbudziłaby w nas wszystkich gorącą cześć i wdzięczność dla owych posłów. Natomiast jeżeli to ma być pusta demonstracya, obliczona na poklask radykalnych żywiołów, to nie tylko przestrzegamy przed nadużywaniem mandatu poselskiego, ale nadto uważamy, że w kraju, już i tak skołatanym rozmaitemi biedami, nie godzi się bawić w takie manifestacye, których celem jest dalsze jątrzenie i szczucie.

Wiadomości urzędowe. Koncepista Namiestnictwa Wilhelm Gawroński przeniesiony został z Kamionki strumiłowej do Sokala. — Auskultantami okręgu lwowskiego sądu krajowego wyższego mianowani praktykanci sądowi: Antoni Jankowski, Antoni Mikołaj Szczepański, Julian Fedusiewicz, Witold Sęk i Jan Łaz.

Zjazd lekarzy i przyrodników polskich, zwołany na dni 1, 2, 3 i 4 sierpnia do Poznania, został wskutek znanego reskryptu policyi poznańskiej, całkowicie odwołany.

Dobra wróżba dla urzędników. W tych dniach organa straży skarbowej obliczały zapasy starego cukru po sklepach. Z tego można wnioskować, że już wkrótce minister skarbu dr. Kaizl na podstawie § 14 wyda nową ustawę o podatku od sprzedaży cukru, z którą, jak wiadomo, ściśle połączoną jest sprawa regulacyi pensyj urzędniczych. Pisma wiedeńskie donoszą, że w drugiej połowie lipca wydana będzie ustawa o podatku od sprzedaży cukru, a z dniem 1 sierpnia wejdzie w życie regulacya płac urzędniczych.

Honorowe obywatelstwo. Rada miejska w Stanisławowie w uznaniu wielkich zasług, które JE. Najprzew. Arcybiskup Isak Isakowicz dla dobra kraju i miasta Stanisławowa położył, uchwaliła ofiarować Mu honorowe obywatelstwo miasta Stanisławowa.

Walne zgromadzenie członków stowarzyszenia głuchoniemych „Nadzieja“ odbędzie się dnia 11go lipca br. o godz. 6 wieczór w sali stow. „Gwiazda“, zaś Walne zgromadzenie korpusu c. k. weteranów wojskowych we Lwowie odbędzie się dnia 10 lipca 1898 o godzinie 9tej przed południem w sali ratuszowej; wreszcie walne zgromadzenie członków Tow. kolonii wakacyjnych dla dziewcząt odbędzie się 7 lipca o godz. 7mej wieczorem w lokalu stowarzyszenia nauczycielek (Rynek 10).

Capstrzyk jubileuszowy. Z okazyi jubileuszu cesarskiego mają lwowskie kapele wojskowe każdej środy począwszy od wczoraj od godz. 8 do 9 przeciągać ulicami i wykonywać utwory muzyczne. Pochód będzie wyruszał zawsze z placu św. Ducha z przed głównego odwachu.

Wystawa plakatów. Wczoraj otwartą została w miejskiem muzeum techniczno-przemysłowem w Krakowie wystawa artystycznych plakatów. Wystawa urządzona staraniem dyrektora muzeum p. Jana Wdowiszewskiego, przedstawia się bardzo dodatnio. Nadesłano na nią 257 artystycznie wykonanych plakatów. Pierwsze miejsce zajmuje Francya, a wśród jej okazów najpiękniejsze są plakaty Chereta, za nią idzie Belgia, Włochy, Niemcy, Szwecya, Szwajcarya i Ameryka. Najmniej jest plakatów polskich rysowników, bo zaledwie kilkanaście. Dla wystawy p. Wdowiszewski przygotował obszerny przewodnik, zawierający historyę plakatów, nazwiska najsławniejszych rysowników itp.

Aresztowanie. Wczoraj schwytano w Wiedniu ekonoma Joachima Kahane, który skradłszy w Toporowicach w pow. śniatyńskim swym chlebodawcom losy i precyoza ogólnej wartości około 3000 zł. umknął i ukrywał się w Wiedniu. Oddano go w ręce sądu.

Samobójstwo. We wtorek strzelił do siebie w Tarnopolu restaurator miejscowy Stanisław Michałowski. Przyczyną były niesnaski rodzinne. Ciężko rannego desperata odwieziono do szpitala.

Marki na posyłki kolejowe. Donieśliśmy już, że dla transportu przesyłek pospiesznych koleją zostały zaprowadzone od 1 b m. osobne marki które zastępywać będą używane dotychczas listy przesyłkowe, tzw. po niemiecku „Frachtbriefe“. Dla wygody czytelników wiadomość tę uzupełniamy obecnie następującymi szczegółami: marki te można zastosowywać do posyłek w ruchu kolei państwowych z wyjątkiem kolei lokalnych, a mianowicie: Borkiwielkie, — Grzymałów, Tarnopol-Kopyczyńce, Lwów-Bełzec, Lwów-Janów, Łupków-Cisna, Dolina-Wygoda, Kołomyjskie koleje lokalne, Bukowińskie koleje lokalne i krajowe. Przesyłka na odległość do 160 km. może wynosić najwięcej 20 kg., a na odległość do 330 km. najwięcej 10 kg. Cena marki wynosi w obu wypadkach 50 halerów, marki nabyć można w kasach pakunkowych. Posyłek takich nie można obciążać zaliczkami, ani zabezpieczać im terminu dostawy. Wreszcie ważnem jest, że wolno w ten sposób przesyłać tylko następujące artykuły: poziomki, piwo, masło (także sztuczne i roślinne), margaryna, jaja (z wyjątkiem mrówczych), ekstrakt zupny, ocet kuchenny, łój, słonina, smalec wieprzowy i gęsi, ryby żywe, zabite, wędzone, solone, konserwy z ryb i ikrę, (z wyjątkiem kawioru), mięso świeże, wędzone, marynowane, solone i konserwy mięsne, wędliny, drób i żywy w kojcach, skrzynkach, lub koszach, pieczywo, jarzyny, także młoda kukurudza w strąkach, próbki zboża, orzechy, kasztany, drożdże płynne i prasowane, kartofle, ser, twaróg, wszelkiego rodzaju owoce, mleko z wyjątkiem mleka zgęszczonego, wody mineralne, także sztuczne, moszcz winny i owocowy, powidła, wodę sodową, także z sokiem owocowym, drzewa owocowe, zabite zwierzęta, drób, króliki i dziczyznę.

Kobiety lekarki w Rosyi. Rząd rosyjski za zezwoleniem monarchy przyznał obecnie kobietom, które oddają się zawodowi lekarskiemu wcale rozległe prawa. Oto kobieta, która ukończyła wydział lekarski korzystać będzie odtąd z wszelkich praw służby państwowej, tj. wyższych praw politycznych, co nie każdemu przysługuje mężczyźnie. Odtąd kobieta-lekarka przestaje być tylko członkiem rodziny urzędnika, ale sama staje się urzędnikiem, rozporządzającym wszystkimi przywilejami państwowej służby. Według nowego prawa, kobieta-lekarka, która dosłużyła się emerytury, nie traci jej, gdy za mąż wychodzi, jak to ma miejsce w razach, jeżeli ma emeryturę po ojcu albo mężu; dzieci kobiety-lekarza otrzymują część emerytury po matce. Nadto prawo zalicza kobietom-lekarzom wszystkie lata, spędzone w służbie przed wydaniem niniejszego rozporządzenia, po potrąceniu należytości do funduszów emerytalnych.

Z Tarnobrzegu nam piszą: Tymi dniami nauczyciele powiatu tarnobrzeskiego żegnali bardzo serdecznie starostę pana Teofila Sozańskiego, który przeszedł na emeryturę. Nauczyciele uprosili pana starostę, by przybył do sali szkolnej. Gdy wchodził, chór dzieci odśpiewał bardzo ładnie, pod kierunkiem nauczyciela śpiewu p. Józefa Łopatyńskiego kantatę. Następnie inspektor szkół ludowych pan Długosz przemówił do pana starosty w słowach serdecznych, dziękując za opiekę, jaką otaczał nauczycielstwo tutejszego powiatu i pożegnał go, życząc zdrowia i długiego życia. Potem orkiestra, złożona z samych nauczycieli odegrała uwerturę, po skończeniu której p. Wincenta Ellinger, kierowniczka szkoły tarnobrzeskiej w gorących słowach wyliczyła wydatne zasługi p. Sozańskiego, jako przewodniczącego Rady szkolnej okręgowej, jego iście obywatelską działalność i szczerą życzliwość, jaką on zawsze otaczał grono nauczycielskie. Pan starosta serdecznie podziękował za te objawy uznania i życzył zebranym jak najpomyślniejszych skutków ich trudnej i wielce w obec Boga, Ojczyzny i społeczeństwa odpowiedzialnej pracy. Piękną tę uroczystość zakończyła dziatwa szkolna odśpiewaniem pieśni pożegnalnej.

Słynny panamista Korneliusz Hertz, zmarł wczoraj w Bournemouth. Był to człowiek niezwykłych zdolności i nadzwyczajnego sprytu, a zarazem jeden z największych i najbardziej typowych łotrów, jakich wydały dzieje polityczne trzeciej republiki. Nie zajmując żadnego urzędowego stanowiska we Francyi, rządził on prawie republiką i posiadał tajne wpływy we wszystkich prawie jej stronnictwach. Na stosunkach z towarzystwem panamskiem zrobił olbrzymi, kilkudziesięciomilionowy majątek i posiadał w swych rękach niebezpieczne tajemnice, które mogłyby skompromitować najwybitniejsze osobistości. Był przyjacielem Lessepsa, Grévy'ego, Freycineta, Clémenceau i innych polityków. Po krachu panamskim uciekł do Londynu; stronnictwa i rządy domagały się, aby go wydano, ale daremnie: umiał sobie na wszystko poradzić. Ciekawa rzecz czy tajemnice, jakie posiadał, zabrał ze sobą do grobu, czy przekazał posiadane dokumenta jakiej zaufanej osobie, lub czy niektóre z tajemnic kazał zdradzić po swej śmierci? W każdym razie zgon jego wywoła niewątpliwie zaniepokojenie i obawy w kołach politycznych Francyi.

Najgorsza wiedeńska apteka. Wiele osób z naszego kraju żywi złudne mniemanie, że cesarska nadworna apteka w Wiedniu jest najlepszą z wiedeńskich aptek i mając recepty wiedeńskich lekarzy, udaje się do tej apteki. Tymczasem jest to najgorsza apteka, tak zła, że żaden Wiedeńczyk nigdy w niej nic nie kupuje; subjekci w tej aptece udają „c. k. hofratów“, czytują gazety, rozmawiają z sobą, a chorych niedbale ekspedyują. Świeżo straszny wypadek, który się zdarzył na klinice prof. Nothnagla, zwróci może uwagę sfer dworskich na tę szkodliwą instytucyę i zniewoli do jej zreformowania. Wypadek ten jest następujący: Oto przybyła na klinikę jakaś młoda dziewczyna z Preszburga, chora na tasiemca. Po zażyciu lekarstwa, które jej dał asystent kliniki, chora umarła, a śledztwo wykazało, że z nadwornej cesarskiej apteki wydano zamiast lekarstwa wypisanego na recepcie, jakąś truciznę.

Wynalazek Polaka. Pan Kazimierz Prószyński, syn redaktora „Gazety Świątecznej,“ wynalazł przyrząd, służący do otrzymywania obrazów żywych, wielkości naturalnej. Jest więc to kinematograf, o tyle jednak lepszy od edisonowskiego, że daje obrazy dokładniejsze, usuwa drgania światła, i że jest prostszy. Pan Prószyński nazwał swój instrument „pleografem“.

Uroczystości mickiewiczowskie w Krakowie kosztowały to miasto około 10.000 reńskich. Dla porównania zaznaczyć można, że na urządzenie uroczystości Palackiego w Pradze, uchwaliła stolica Czech 200.000 reńskich.

Zajmująca lista. Liczne rewizye dokonane tymi dniami przez policyę krakowską w mieszkaniach tamecznych socyalistów, wykryły między innymi bardzo zajmującą listę osób, które socyalistów subwencyonowały. Są to właściciele różnych kantorów bankierskich, właściciele fabryk, magazynów, goszefciarze rozmaitego rodzaju oraz przeróżni, tak zwani „kapitaliści“. Sabwencyonowali oni socyalistów oczywiście nie dla tego że podzielali ich zapatrywania socyalne, ale dlatego że bali się aby przywódcy socyalistów nie szczuli motłochu socyalistycznego przeciwko nim. Chcieli więc ratować i swe majątki i swą rasę od socyalistycznej nienawiści. Szkoda tylko, że czynili to popychając socyalistów na nasze majątki i na naszą rasę.

Z Petersburga donoszą, że sprawa budowy kolei z Trawnik do Tomaszowa została nareszcie pomyślnie załatwioną. W dniu 28-ym czerwca koncesyę na budowę tej kolei nadano ordynatowi hr. Maurycemu Zamoyskiemu. Zbyteczne chyba przypominać, że kolej ta będzie miała znaczenie bardzo ważne, gdyż łącząc kolej Nadwiślańską z lwowsko-bełzecką, utworzy dla Galicyi komunikacyę z Gdańskiem a skróci komunikacyę kolejową pomiędzy Warszawą i Lwowem. Otwarcie tej kolei skieruje wywóz zboża z Galicyi Wschodniej do Gdańska.

Willa Bebla. Posiadłość znanego przywódcy socyalistów położona jest tuż nad jeziorem Zurychskiem i zdaleka już zwraca na siebie uwagę rozmiarami swojemi i olbrzymim jak krew czerwonym dachem. Aż do samych fal jeziora biegnie piękny, wielki ogród, pełen altan i pawilonów. Ogród ten jednak nie został założonym na naturalnym brzegu, ale na ziemi nasypanej, co pociągnęło olbrzymie koszta za sobą. Z drugiej strony tej trzypiętrowej willi, od ulicy, znajduje się również piękny, obszerny ogród, przecięty szeroką drogą, wiodącą do głównego portalu willi. Od ulicy oddzielony jest ogród, pięknemi, żelaznemi sztachetami, ustawionemi na granitowem podmurowaniu. Wartość tej willi sięga pół miliona marek. Widocznie nie zły to interes być przywódcą socyalistów.

Motyle pijakami. W *„Gaulois“* jeden z francuzkich uczonych podał zajmujący artykulik o motylach. W pracy tej twierdzi on, że nie ma wśród tworów żyjących na świecie większych pijaków jak motyle. Słodycz którą wypijają z kwiatów, przeistacza się w ich organizmie w alkohol, tak, że skrzętny motyl znajduje się ciągle w nietrzeźwym stanie.

Nie uchodzi. Pod takim tytułem zamieścił jeden z niemieckich organów księgarskich szereg przykazań, z których przytaczamy kilka, w nadziei że i nasi czytelnicy skorzystać z nich będą mogli. I tak: Nie uchodzi dać córce sutego wiana, a zapomnieć o szafce z książkami i o czasopismach. Nie uchodzi żadnemu radcy mieć piwnicę pełną butelek, a nie mieć duchowej strawy w postaci biblioteki i czasopism. Nie uchodzi trzymać w jednej rączcze chusteczki skropionej fiołkami, a w drugiej cuchnącą zatłuszczoną powieść z publicznej wypożyczalni. Nie uchodzi w ogóle pożyczać książek, gdy się jest zamożnym i może się je mieć za własne pieniądze. Nie uchodzi rozprawiać o jakiejkolwiek nowości literackiej, gdy się ją zna tylko z opowiadania innych, lub z recenzyi. Nie uchodzi mieć nożyc do odcinania kuponów, a nie posiadać noża do przecinania kartek. Nie uchodzi wziąwszy od księgarza nowy egzemplarz, zwrócić mu go po kilku dniach, tu i ówdzie rozcięty. Nie uchodzi wziąć od księgarza paczki nowości literackich, rozrzucić, ich od niechcenia w salonie, a nazajutrz po raucie, odesłać mu wszystkie — co do jednej. Nie uchodzi czerpać całej wiedzy i wrażeń estetycznych jedynie z tygodników i pism illustrowanych, gdyż umysł pozbawiony poważnego pokarmu duchowego, musi się w ugór zamienić.

Zmarli. Gabryela z Malickich Winnicka żona rewidenta rachunkowego c. k. Namiestnictwa lat 46.

Stan powietrza. T. o g. 8 rano +12, w poł. +13 R. Bar. 766. Nieruchomy. Pochmurno.

Ostrożność nie zawadzi.

— Niechże pan nie zapomni o mojej prośbie.

— Och, bądź pan spokojny! Zawiązałem sobie dwa supełki na chustce.

— Dla czego dwa?

— Jeden na wypadek, gdybym zapomniał, co drugi oznacza.

Trafne porównanie.

Podoficer: Żołnierzu Maier! jutro będziesz postawiony po raz pierwszy jako szyldwach przed magazynem prochu. Pamiętaj, że jak kolos rodyjski jedną nogą stoisz na służbie cesarskiej, drugą na tamtym świecie, trzecią — w areszcie. A więc — baczność!

Aforyzm garsona restauracyi.

„Najgorzej boję się tych panów, którzy, gdy usługuję, są dla mnie zabardzo grzeczni“.

Głosy publiczności.

Dochód z „Podwieczorku wyścigowego“ na rzecz domu podrzutków im. „Dzieciątka Jezus“ wynosi 1060 zł. Za wynik ten pomyślny składam wszystkim, którzy do niego się przyczynili serdeczne „Bóg zapłać“. *Adamowa Sapieżyna.*

SPORT.

Wyścigi konne w Serajewie.

Dzień pierwszy 26 czerwca. Nagroda cesarska 30.000 koron zwycięzcy, 1500 k. drugiemu koniowi, meta 2400 metr. Zapisano koni 18, biegało 6. P. G. v. Rahonczy'ego 3l. „Esterfi“ po Milon od Ester 1. Br. G. Springera 3l. „Lulu“ 2. Totalizator 12 : 5. — Nagroda miasta Sarajewo, Handicap: 6000 k. zwycięzcy, 1000 k. drugiemu koniowi, meta 1200 m. Zapisano koni 18, biegało 5. Hr. Z. Kinsky'ego 3l. „Wienerwald“ po Master Kildare od Vindobona (56 kg.) 1. Br. G. Springera 3letni „Or-chef“ (51 kilogr.) 2. Totalizator 29 : 5. — Dzień drugi 29 czerwca. Nagroda Ilidże, Handicap, 12000 k. k. zwycięzcy, 1000 k. drugiemu koniowi, meta 1600 mk. Zapisano koni 23, biegało 6. P. Siltona 5l. „Primula“ po Primas II. od Fasterling ($52\frac{1}{2}$ kg.) 1. Hr. E. Hunyady 3 l. „Daindy“ $50\frac{1}{2}$ kg.) 2. Totalizator 10 5. Bieg myśliwski 4000 k. zwycięzcy, 1000 k. drugiemu koniowi, meta 4800 mtr. Zapisano koni 13, biegały 4. Por. hr. P. Orssich 4 l. „Eglamoura“ po Abonnent od Evergreen 1. H. Z. Kinskyego 6 l. „Madelaine“ 2. Totalizator 7. 5.

Niemieckie Derby w Hamburgu wygrał koń król. prus. stada w Graditz „Habenichts“. Pomiędzy 10 współzawodnikami były dwa konie austryackie „Maikönig“ i „Doria“, które przyszły drugim i trzecim.

* * *

W świecie wyścigowym angielskim zapanował prąd przeciw krótkim metom. Bardzo poważne głosy między innymi lord March odzywają się za pomnożeniem ilości biegów na długą metę. Prawdopodobnie powodem tego prądu jest przykład Francyi: od r. 1887 włącznie, francuskie konie wygrywają Grand Prix de Paris przeciw angielskim. Tegoroczny bieg o tę nagrodę był prawdziwą klęską dla koni angielskich, a świeżo znowu francuski koń „Elf“ wygrał „złoty puhar“ w Ascot (meta 4000 m.), co też nie mało przyczyniło się do powiększenia liczby zwolenników wyścigów na długą metę. Może Bóg da, że z czasem choćby — grzecznie mówiąc — przez naśladowanie Anglii, prąd ten dostanie się i do austro-węgierskiej monarchii.

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 5 lipca

(Z.) Dziś właściwie nie było żadnej zasadniczej tendencyi na giełdzie. Sala giełdowa świeciła pustkami a było wiele takich walorów, w których przez cały dzień nie zrobiono literalnie ani jednej transakcyi. Już ta stagnacya sama przez się musiała wywrzeć dotkliwy nacisk na kursa, zwiększały go zaś wiadomości o słotnem powietrzu w wielu okolicach Węgier, gdzie żniwa są w pełnym toku. Słota ta wpłynęła bardzo ujemnie na kurs akcyi Towarzystwa żeglugi na Dunaju. Z pierwszorzędnych walorów właściwie tylko kredyty i Statsbahny były przedmiotem operacyi, jakkolwiek nieznacznych. W rentach nie było żadnego ruchu. — W Paryżu, mimo klęski Hiszpanów, podniósł się kurs renty hiszpańskiej prawie o franka, na $34\frac{1}{2}$, gdyż spodziewają się tam, że teraz musi już niebawem nastać pokój.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 360·—, węgierskie 395 50, Angiobanki 157·—, Uniony 296·50, Bankvereiny 267·—, Länderbanki 226·25, Ludwiki 212·—, Czerniowieckie 292·—, Elbethale 262·50, Renta papierowa 101·80, srebrna 101·65, austryacka złota 121·10, austr. renta wal. kor. 100·90, węgierska złota 120 75, węgierska renta wal. kor. 99.10, dukat 5·63, 20 frankówka $9·51\frac{1}{2}$, marki 11·73 —, ruble $1·26\frac{1}{4}$.

Ceny zboża. Wiedeń 5 lipca. Pszenica na jesień 8·84—8·91; żyto na jesień 6.90—6·99; owies na jesień 5.92; kukurudza na lipiec-sierpień 5·44; na wrzesień-październik 5·54.

Wiedeń 6 lipca. Pszenica na jesień 8 86—8 90; żyto na jesień 6·93; owies na jesień 5 92; kukurudza na lipiec-sierpień 5·41—5 43, na wrzesień-październik 5 52—5·53; rzepak na sierpień - wrzesień 12 50—12 60. Spirytus 19 40—19 60.

§ **Kartel naftowy.** Ustanowiony kontyngent kartelu naftowego wynosi 2 100.000 centnarów metrycznych. Kartel zawarty został na przeciąg dwóch lat, z możnością wznowienia go następnie co roku pod pewnymi warunkami. Głównym warunkiem wznowienia jest, żeby w międzyczasie nie powstała żadna nowa fabryka w kraju. Cenę nafty ustanowiono na 17 złr., zacznie ona jednak obowiązywać dopiero we wrześniu. Tryesteńska rafinerya dotąd oficyalnie jeszcze nie przystąpiła do kartelu.

Wystawa przemysłu browarniczego w Londynie. Lwowska izba handlowa i przemysłowa zawiadamia, iż w czasie od 29 października do 4 listopada r. b. odbędzie się w Londynie XX. doroczna wystawa przemysłu browarniczego, połączona z premiowaniem słodu i jęczmienia tudzież międzynarodową wystawą wszelkich dla browarnictwa, wyrobu słodu, destylatorów i t. p. potrzebnych maszyn, utenzyliów i materyałów. Termin do zgłoszenia upływa z dniem 20 października r. b. Prospekt wystawy można przejrzeć w biurze Izby handlowej i przemysłowej we Lwowie.

§ ***Z targu zbożowego na Kleparzu.***

Kraków 5 lipca.

Na dzisiejszym targu nie przeprowadzono ani jednej transakcyi na pszenicę, wskutek czego nie można było ceny skonstatować i przyjąć trzeba cenę zeszłotygodniową. Żyto było natomiast poszukiwane i podniosło się w cenie o 10 do 15 ct. na 100 kg. Ceny innych produktów nie uległy zmianie.

Płacono: pszenicę białą 10.50—11·25, czerwoną 10.50—11·50, żółtą 10·50—11.50; żyto 9·50—9.85, jęczmień browarny 7.80—8·50, na paszę —·—do —·— owies 8·00—9·—; rzepak —·— do —·—, konicz czerwony —.— do —.—, biały —.— do —.— zł. kukurudza 0.00—0.00. Wszystko za 100 kilogram.

Bank galicyjski dla handlu i przemysłu.

Ostatnie wiadomości.

W Galicyi zachodniej panował w ciągu ubiegłej doby niezamącony niczem spokój.

Puszczono wczoraj w świat pogłoskę, że w Galicyi wschodniej, a mianowicie w powiatach tarnopolskim i buczackim zanosi się na zaburzenia, analogiczne z temi, jakie zaledwie ucichły na zachodzie. Otóż na podstawie zupełnie wiarygodnej informacyi donosimy, że wieści te są zupełnie bezpodstawne, a pismo, które je wczoraj ogłosiło, zostało zawezwane z urzędu do odwołania ich jako nieprawdziwych.

Telegramy Przeglądu.

Wojna hiszpańsko-amerykańska.

Madryt 7 lipca. Między ludnością panuje wielkie wzburzenie. Obawiają się wybuchu rozruchów, z tego też powodu skonsygnowano wojsko. Królowa rejentka powołała wczoraj do siebie marszałka Martinez-Camposa i długo z nim konferowała. Wielu zwala na rząd winę za klęskę Cervery. Powiadają, że Cervera otrzymał z Madrytu rozkaz do wypłynięcia z zatoki Sant Jago. — Torpedowce hiszpańskie, należące do eskadry admirała Camary, wracają do Hiszpanii. Z Suezu donoszą, że tamtejsze egipskie władze portowe nie pozwoliły Camarze zaopatrzyć się w węgiel, lecz zawiadomiły go, iż w ciągu dwudziestu czterech godzin musi odpłynąć czy w tę czy w ową stronę.

Nowy York 7 lipca. Dotychczas nie rozpoczęto jeszcze bombardowania Sant Jago. Prawdopodobnie jenerał Shafter czeka na posiłki, które w sobotę wyruszyły z obozu w Tampie. Wczoraj doniósł Shafter, że jenerał hiszpański zgodził się na wymianę porucznika Hobsona, który wysadził w powietrze statek „Merrimac“, aby szczątkami jego zatarasować wejście do zatoki Sant Jago, tudzież siedmiu ludzi, którzy wraz z nim znajdowali się na tym statku, za jeńców hiszpańskich.

Madryt 7 lipca. Jenerał Linarez jakkolwiek nie wyleczył się jeszcze z rany otrzymanej podczas szturmu na fort El Ganey objął napowrót dowództwo nad wojskami hiszpańskiemi w Sant Jago.

Do ministeryum spraw zagranicznych nadeszło wiele depesz kondolencyjnych od rządów zagranicznych. Ministrowie zachowują jak najściślejszą tajemnicę o przebiegu ostatniej rady gabinetowej.

Gubernator Blanco zażądał telegraficznie, aby mu przysłano pieniądze. Minister marynarki zaprzeczył stanowczo pogłosce, jakoby eskadra admirała Camary wracała do Hiszpanii.

Waszyngton 7 lipca. Senat 42 głosami przeciw 41 przyjął rezolucyę o aneksyi wysp Hawajskich.

Chicago 7 lipca. Niemcy osiedli w Chicago zorganizowali pułk piechoty i oddali go do dyspozycyi rządu.

Katastrofa na morzu.

Nowy York 7 lipca. Na oceanie Atlantyckim wydarzyła się jedna z najstraszniejszych katastrof. Na pełnem morzu w odległości 60 mil od Sable Island, wjechał okręt angielski „Cromarthyshire“ na wielki parowiec francuski „Bourgogne“ płynący z Hawru, na którym znajdowało się przeszło 500 podróżnych. Okręt francuski po kilku minutach poszedł na dno, a wraz z nim zginęli prawie wszyscy podróżni i przeszło 100 ludzi załogi.

Paryż 7 lipca. Tutejsze wydanie *New York Heralda* wyraża obawę, że wszyscy pasażerowie I klasy, którzy znajdowali się na parowcu „Bourgogne“ zginęli. W chwili katastrofy spali oni bowiem w kajutach, więc o ratunku ich nie mogło być nawet mowy.

New York 7 lipca. Niektórzy podróżni, znajdujący się na okręcie „Bourgogne“, którzy ocaleli, opowiadają, że majtkowie załogi tego okrętu zachowywali się niesłychanie barbarzyńsko. Kapitan stał wprawdzie na posterunku i zginął wraz z okrętem, ale reszta załogi uciekała, zajmując dla siebie prawie wszystkie łodzie ratunkowe i strącała wiosłami tych pasażerów, którzy szukali także dla siebie miejsca w łodziach. Kilku pasażerów Włochów w ten tylko sposób zdobyło dla siebie miejsca w łodziach, że nożami przebić chcieli majtków, broniących im tego.

Paryż 7 lipca. Kompania transatlantycka, której własnością był zatopiony okręt „Bourgogne“, otrzymała depeszę, zawiadamiającą, że z załogi okrętu ocalało 104 ludzi, a z podróżnych 61.

Paryż 7 lipca. Najnowsza depesza, jaką otrzymała kompania transatlantycka, stwierdza, że wszyscy podróżni I klasy zginęli.

Halifax 7 lipca. Z pomiędzy wielu kobiet i dzieci, które znajdowały się na pokładzie zatopionego okrętu „Bourgogne“ ocalono tylko jedną kobietę. Straszliwe sceny rozgrywały się w ciągu tych kilku minut od chwili przebicia okrętu aż do chwili, gdy poszedł na dno. Mężczyźni tratowali kobiety i dzieci i roztrącali je, aby zdobyć dla siebie miejsce w łodziach ratunkowych, dla tego też wszystkie kobiety i dzieci zginęły. Oficerowie załogi wytrwali do ostatniej chwili na posterunkach i poszli na dno razem z okrętem. Podobno nie tylko okręt „Cromarthyshire“ spowodował kolizyę, ale także jakiś trzeci okręt, bliższych szczegółów jednak do tej pory brak.

Belgrad 7 lipca. Król Aleksander przyjął wczoraj adres skupczyny i przy tej sposobności miał przemowę, w której rzekł, że nabrał przekonania, iż rząd partyjny jest dla Serbii szkodliwy, dlatego też postanowił powołać rząd neutralny. Następnie w ostrych wyrazach napiętnował król szkodliwość partyi radykalnej i rzekł, że nigdy już ona do steru nie przyjdzie, a rękojmią tego jest okoliczność, że Milan objął naczelne dowództwo nad armią.

Rzym 7 lipca. Parlament uchwalił prowizoryum budżetowe po koniec grudnia.

Sinaia 7 lipca. Książe Ferdynand bułgarski z małżonką przybyli wczoraj w odwiedziny do królestwa rumuńskich. Na dworcu powitał ich następca tronu, tudzież poseł turecki. Z dworca udali się księstwo na zamek Pełesz, gdzie odbył się obiad familijny.

Peszt 7 lipca. Wielkie składy drzewa Gregersena stoją w płomieniach.

Peszt 7 lipca. Oprócz składów drzewa Gregersena spłonęła także fabryka parkietów, należąca do niego. Ogień wybuchł o godzinie w pół do 2-giej w nocy. Jakkolwiek ratunek był szybki, nie można było zlokalizować pożaru. Z wielkim tylko trudem zdołano ocalić życie urzędników, mieszkających w fabryce. Szkoda zrządzona tym pożarem jest ogromna.

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Lwów 7 lipca. (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 210.50 do 213.50. Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 291·00 do 294.00. Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 377.— do 387.—. Akcye garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200.— do 210.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku 256.— do 260.—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat z 10 proc. prem. 110.30 do 111.— 4 i pół proc. los. w 50 lat 100.30 do 101.00, 4 proc. los w 60 lat 96.50 do 97·20. Banku kraj. 4 i pół proc. los. w 51 lat. 101.00 do 101.70, Banku kraj. 4 proc. los. w 57 lat 98.00 do 98.70, Tow. kred. gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 97.50 do 98.20, 4 proc. los. w 41 i pół latach 97.70 do 98·40, 4 proc. los. w 56 lat 96.30 do 97.00.

Obligi za 100 zł.. Gal. fund. propinacyjnego 4 proc. 98·30—99.00, Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102·50 do —.—, Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102.40 do 000·— Kolejowe lokalne Banku krajowego 4 procentowe po 200 koron 97.50 do —.—, Pożyczki kraj. 6 proc. 103.00 do.—.—. 4 proc. z 1893 r. 98.00 do 98.70, 4 proc. po 200 koron z 1893 roku 96.20 do 96.90.

Monety. Dukat cesarski 5.61 do 5.71. Napoleondor 9.49 do 9.59. Półimperyał 9.47 do 9.57. Rubel rosyjski papierowy 126·50 do 127·50. 100 marek niemieckich 58.50 do 59.00.

24)

O własnych siłach

POWIEŚĆ

przez

D. GERARD.

Tłómaczyła z angielskiego Zofia baronowa Hartingh.

(Ciąg dalszy).

— To ci musi przysparzać wiele kłopotu?

— Czy wiesz, że nie. Dręczyłoby mnie to więcej, gdybym nic nie robiła. Zdaje mi się, że kiedy Bóg dał komu rozum, siłę i zdrowie, przez to samo włożył na niego pewną odpowiedzialność.

Sir Andrzej nerwowym ruchem podniósł głowę i niemal ze zdziwieniem popatrzył na młodą dziewczynę.

— Widzisz — ciągnęła dalej Elwira — nie może być, aby Bóg przeznaczył każdemu żyć tylko dla siebie i użytkować dary jego w osobistych celach. Toby było takiem szkaradnem samolubstwem, gdyby człowiek nie starał się ulepszyć i udoskonalić tego kącika świata, w którem przeznaczono mu żyć. Patrz naprzykład na tych wieśniaków; pod pewnym względem nie stoją oni wyżej od swego bydła; każdy postępuje w ślad za drugim, nie szukając lepszych, wygodniejszych dróg, i tak było by do końca świata, gdyby nie znalazł się ktoś z szerszym poglądem, któryby ich z tej utartej pospolitości wprowadził na szersze tory.

— Rozumiem — rzekł sir Andrzej — i ty jesteś właśnie tą postępową ich przewodniczką... Co za rozkoszna zieloność.

Weszli na polankę, na tę właśnie, w której Elwira schroniła się, kiedy była pozbawiona dachu nad głową. Od tej pory nie widziała starego młyńskiego koła, uwięzionego wśród mchem porosłych skał, i nie słyszała cichego szelestu strumienia, sączącego się po kamiennem łożysku. W jesiennych barwach ruiny starego młyna przedstawiały się równie malowniczo, jak w blaskach kwietniowego poranku, tylko aksamitna zieleń mchów przybrała rude, pozłociste barwy, a obciążone czerwonemi jagodami gałązki krzewów, powiewające niegdyś w powietrzu, nie igrały już z wiatrem, ale chyliły się ku ziemi. Tam za kotliną, opasaną wieńcem ciemnych borów, olbrzymie, piętrzące się jak obłoki góry zasłaniały widnokrąg, odcinając się bielą śniegów i głębokiemi cieniami lodowatej siności na błękicie pogodnego nieba.

— To jakby fantastyczna dekoracya germańskiej legendy — odezwał się sir Andrzej, rozglądając się z upodobaniem dokoła. — Niezdziwiłbym się, gdyby ten oto tytaniczny świerk przemówił nagle językiem ludzkim i zaczął nam opowiadać dzieje swojego życia, zaklętego w pniu. Ten stary młyński kamień mógłby nam też przytoczyć wiele ciekawych wspomnień z przeszłości, gdyby go tylko puszczono w ruch. A tu oto widzę dwa wygodne siedzenia. Spocznijmy chwilę.

Jasne, wrześniowe słońce, przedzierające się ukośnie przez zwarte gałęzie drzew, złociło krzewy i skały, osnuwając złotem kobierce mchów, rozesłane po falistem wzgórzu. Elwira i jej towarzysz siedzieli czas jakiś w milczeniu, napawając się pięknością uroczego zacisza, gdy naraz hrabianka, podniósłszy głowę, spostrzegła ze zdziwieniem oczy sir Andrzeja badawczo w niej utkwione.

— To niewygodna ta twoja teorya — odezwał się, strącając laską kamyk do strumienia.

— Jaka teorya?

— Ta, którą wygłosiłaś przed chwilą o odpowiedzialności ludzi z głową względem tych, którzy jej nie mają. Skąd zaczerpnęłaś tę myśl?

— Albo ja wiem... — odparła. — A może — dodała po chwili — może być, że od ojca Seppa. Nie żeby ten kochany święty staruszek miał bardzo tęgą głowę, albo wdawał się w jakie rezonowania, ale przykładem swoim pokazał mi, jak wiele działać może współczucie ludzkie, nawet nie kierowane wielkim rozumem.

— Mówisz o współczuciu i rozumie... a czy pieniądze nie grają żadnej roli w twoich filantropijnych pojęciach?

— Pieniądze!... O, gdybym jeszcze i te miała w dodatku, to nie wiadomo, czegobym nie dokazała...

Sir Nevyll znowu drgnął niespokojnie.

— A cóżbyś powiedziała o człowieku, któryby posiadał wszystkie wymagane warunki, włączając w to środki materyalne, a nie zdziałał nic zgoła dla świata i swego otoczenia?

— Litowałabym się nad nim — odparła Elwira z prostotą — bo taki człowiek nie znalazłby nigdy szczęścia w życiu.

— A ty czujesz się szczęśliwą, pracując dla siebie i drugich?

— Tak, mogę powiedzieć... jestem szczęśliwą; przynajmniej nigdy nie czułam się szczęśliwszą, jak przez ciąg ubiegłego roku. Znalazłam miejsce w słońcu. Zanim dobiłam do tej cichej przystani, los miotał mną na wszystkie strony. Tam na szerokim, bezdusznym świecie, byłam niczem... pogardzona, odtrącona przez wszystkich. Nie należałam do żadnej sfery. Krewny mojego ojca zajmuje wysokie stanowisko w ministeryum; brat mojej matki jest ubogim perukarzem w prowincyonalnem miasteczku. Jeden ustanawia prawa, drugi fabrykuje fałszywe szyniony... wszędzie tkwi jakaś sprzeczność, jakaś niekonsekwencya. Tu nikt nie zaprząta sobie głowy takiemi rzeczami. Ludzie biorą mnie taką, jaką jestem.

— Tak, ale czyż taką, *jak jesteś* i z przyczyny właśnie, że taką jesteś, ludzie zostawią cię tutaj w spokoju?

— Teraz, tak — odparła beznamiętnie. — Z początku mój wygląd stawał mi na przeszkodzie, ale ten znów kochany i zacny ojciec Sepp wziął mnie w swoją opiekę, a od chwili, gdy to uczynił, jestem bezpieczną. I dziś dość jego wspomnienia, aby mnie ochronić od wszelkich nieprzyjemności. Ale — dodała — przerywając sobie — rozmowa nasza przybiera charakter nadto jednostronny. Widzę, że mówię tylko o sobie, a ty, kuzynie Andrzeju, nic mi jeszcze nie powiedziałeś o życiu swojem przeszłem i obecnem, o swoich zajęciach i celach? Nawet w listach swoich pomijałeś zawsze te kwestye milczeniem i zadawałeś mi tylko same zapytania. Dlaczegoż to tak?

Sir Andrzej uśmiechnął się posępnie.

— Cóż jabym ci mógł o sobie powiedzieć? Cóżby ci z tego przyszło, gdybym zaczął rozwodzić się przed tobą nad problematycznemi rozkoszami londyńskiego sezonu, albo opisywać ci rozmaite sposoby, jakie wymyślamy, aby zabijać czas w naszych wiejskich rezydencyach? O czemże mam mówić? O piękności pań przedstawionych tego roku u dworu, o brylantach tej lub owej księżny, o długach lorda Thingumboba...

— Ale przecie musisz czasem mówić o czemś innem, niż o cudzych długach i brylantach?

— O, tak... mówimy nieraz o polityce, radzimy nad reformą praw krajowych, dyskutujemy o poezyi i krytykujemy literaturę i sztukę. Zdarzało mi się bywać bardzo wymownym w kwestyi lawn-tenisa i Euklidesa, stosownie do tego, czy prowadziłem do obiadu uczoną pannę, pozującą na sawantkę, czy też prowincyonalną gąskę...

— Mniejsza o rozmowy; powiedz mi o twoich zajęciach, o miejscach, jakie zwiedzałeś?

— I z tego niewieleby ci przyszło. Czy słyszałaś kiedy o takiej miejscowości, jak Hurlingham, albo Lord's...

— Nie.

— Tem lepiej dla ciebie. Przyjmij moją radę i nie dopytuj się więcej. Upewniam cię, że wywołają one tylko przesyt i nudę.

— Więc pocóż tam bywasz, jeżeli cię to nudzi?

— Bo się obejść bez tego nie mogę. Istnieje w świecie tyran o uśmiechniętej twarzy i żelaznych kleszczach, który się zowie „przyzwyczajeniem". Ani ambicya, ani inne namiętności ludzkie, nie są tak nieubłagane, jak on. A choć czasem przychodzą chwilowe błyski zastanowienia, w których widzi się jasno całą niedorzeczność i szaleństwo swoje... to niech tam!... — rozśmiał się gorzko sir Andrzej. — Zawsze to jest sposób zabicia myśli, a koniec końców, jeżeli człowiek posiada możność używania życia, to dlaczegóż niema z tego korzystać?

Elwira podniosła badawczo na niego oczy i spotkała się z jego pytającem spojrzeniem, jakby czekał, żeby potwierdziła jego zdanie.

— Czy nie jesteś mego zdania? — zapytał jej niemal wyzywająco.

— Zapewne; jeżeli ci jest używaniem... Ale ty nie wyglądasz, jakby ci to dało zadowolenie.

On poruszył się niespokojnie, jakby chciał uniknąć tego czystego, dziewczęcego wzroku, zatopionego w tajemnicach jego zamkniętej w sobie duszy, ale nie odpowiedział nic.

— A jednak posiadasz wszystko: bogactwo, zdrowie, stanowisko...

— To nie wszystko jeszcze.

— To więcej, niż posiada ogół ludzi

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny: Wacław Masłowski. Papier z fabryki Fijałkowskich w Białej. Drukarnia nar. St. Maniecki i Spółka hotel Zorza Zarządca W. Hodak.